

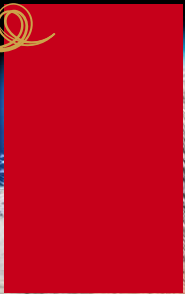
MAGAZYN
NOWOROCZNY



7 RZECZY,
którymi
żyliśmy
w 2024 ▶ 14

Nie będziemy
mieć **DZIECI
Z ROBOTAMI**
▶ 24

**ZACHWATOWICZ
I WAJDA.**
Zaczęło się od błota
▶ 16



GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Marek Czyż
**W TVP czekamy
na polityków PiS** ▶ 10

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198



Negroni
**Stanleya
Tucciego**
▶ 22



FOT. © GERHARD KASSNER

Pieniądze dla PiS.
**PKW zmieniła
zdanie**
▶ 4

**Scenariusze
dla świata 2025:**
Powrót Trumpa
▶ 7

Gdzie jest
**nowe pokolenie
polskich skoczków**
▶ 28

Marek
Beylin

PiS – koalicja: wyścig przemocy na granicy

Gdy rząd przejął pisowską politykę masowych pushbacków na granicy polsko-białoruskiej, partia Kaczyńskiego uznała, że nie odda pierwszeństwa w tym wyścigu przemocy i bezprawia. Obserwujemy więc stopniową obustronną eskalację w tej sprawie; raz rząd i opozycja mówią jednym głosem, raz PiS wysuwa się na prowadzenie.

Wspólny głos wybrzmiał tuż przed świętami po zamachu terrorystycznym w Magdeburgu, gdy sprawca wjechał samochodem w tłum na jarmarku. O, migranci, nie wpuszczać – grzmiał PiS. O, migranci, nie wpuszczać – oznajmiał premier Tusk. Ujrzelismy populistyczną mowę ponad podziałami. I obok faktów. Bo sprawca, Saudyjczyk od 16 lat żyjący w Niemczech, renomowany lekarz, jest antyislamski, sympatyzuje ze skrajną nacjonalistyczną partią AfD oraz oskarża władze niemieckie, że z premedytacją organizują islamską imigrację. To niemiecki ultranacjonalista, co słabo przystaje do utrwalanego przez PiS i Tuska stereotypu islamskiego uchodźcy, agenta obcych wpływów religijnych bądź politycznych.

Wszyscy jesteście ofiarami tej polityki. Oczywiście najokrutniej dotyka ona uchodźców na granicy białoruskiej. Ale szkodzi również nam: osłabia nasze szanse na demokratyczną przyszłość

Tym samym koalicja przekroczyła kolejny próg odczłowieczania uchodźców. Zwłaszcza że słowa Zgorzelskiego wywołały zaledwie mikroburzę w obozie rządzącym.

Jednak nawet Zgorzelski nie przebił PiS w mowie przemocy. Trzeba zaminować granicę polsko-białorską – zaproponował w połowie grudnia po raz kolejny Mariusz Błaszczak, szef klubu PiS. Czyli już nie pushbacki, już nie zawieszenie prawa do azylu, tylko niech uchodźców, w tym kobiety i dzieci, rozrywają miny.

Powinno to uświadomić koalicji, że w tym wyścigu na przemoc PiS zawsze wygra, natomiast będzie zawsze gorszy w humanitarnej, a w dodatku niedewastującej przyrody ochronie granicy.

PiS przez osiem lat uczył nas, że lojalność wobec państwa i władzy dobrze wyraża się w postawach ksenofobicznych. Koalicja przejęła tę naukę, choć czyni to znacznie łagodniej. Ale i tak na razie bardziej wzmaga nasz rodzimy rasizm, niż go zwalcza. Najpewniej jedną z ofiar znormalizowanej niechęci do „obcych” są też Ukraińcy w Polsce, coraz słabiej aprobowani przez Polaków.

W gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy ofiarami tej polityki. Oczywiście najokrutniej dotyka ona uchodźców na granicy białoruskiej. Ale szkodzi również nam: osłabia nasze szanse na demokratyczną przyszłość. Bo trwającą od roku normalizacją ksenofobii oraz przemocy na granicy przyzwyczaiła większość polskiego społeczeństwa do rasizmu. A to tworzy dobry grunt pod przyszłe zwycięstwa skrajnej prawicy, także w wyborach prezydenckich. ●

Andrzej rysuje



Ukraina

Ludowa Małanka na ulicach Kijowa



Kijów, 29 grudnia 2024 r. Uczestnicy ludowego święta Małanka zatrzymują auta, by prosić kierowców o datki na działania wojenne. Małanka to przedchrześcijańska tradycja noworocznego karnawału. Mieszkańcy przebierają się za dziwaczne postacie mające odstraszać złe duchy i kołędują po domach, życząc gospodarzom wszelkiej pomyślności. **Więcej zdjęć i niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia**

Liczba dnia

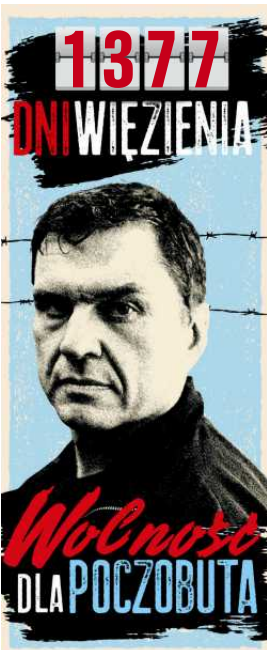
24

MLN

Tyle osób pracuje dziś w Polsce na umowach śmieciowych – wynika z najnowszych danych GUS.

Aż 87,5 proc. z nich podpisano w sektorze prywatnym.

Więcej ► 8



Jimmy Carter 1924-2024

Zmienił życie ludzi na całym świecie

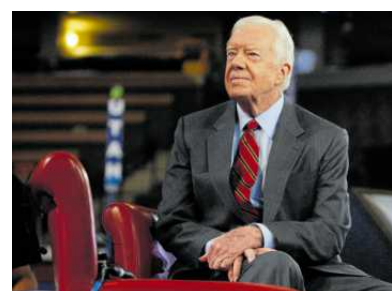
Zmarł w niedzielę w wieku 100 lat. Rządził USA w niełatwych latach 1977-81, a następnie poświęcił się działalności na rzecz pokoju i demokracji na świecie, za co w 2002 r. otrzymał Nagrodę Nobla.

W 2015 r. Jimmy Carter pokonał raka mózgu. Cztery lata później miał jednak serię innych problemów zdrowotnych. Podczas pandemii ograniczył działalność publiczną, choć w 2020 r. wsparł kandydaturę Joea Bidena na prezydenta USA. Co ciekawe, w 1976 r. to Biden był jednym z pierwszych amerykańskich senatorów, którzy wsparli kandydaturę Cartera.

Prezydent Biden we wczorajszym oświadczeniu nazwał zmarłego „drogim przyjacielem”, który „ocalił, polepszył i zmienił życie ludzi na całym świecie”. „Pracował nad tym, by eliminować choroby, wykuwać pokój, rozszerzać prawa obywatelskie i prawa człowieka, promować wolne i uczciwe wybory, zapewniać dach nad głową bezdomnym, i zawsze stał po stronie najsłabszych” – napisał Biden, stawiając go za wzór dla innych Amerykanów.

Prezydentura Cartera kojarzy się przede wszystkim z burzliwym okresem kryzysu energetycznego, walki z inflacją, kryzysu wywołanego przetrzymywaniem przez Iran amerykańskich zakładników oraz z sowiecką inwazją na Afganistan.

W odpowiedzi na tę inwazję Carter nałożył embargo na eksport zboża do ZSRR i podjął decyzję o bojkocie letnich igrzysk olimpijskich w Moskwie w 1980 r. To, co ogłosił w orędziu, przeszło do historii jako doktryna Cartera: „Jakakolwiek próba przejęcia kontroli nad regionem Zatoki Perskiej przez siłę zewnętrzną będzie traktowana jako atak na żywotne interesy Stanów Zjednoczonych i taki atak będzie odparty wszelkimi niezbędnymi środkami, w tym siłą militarną”.



Jednym z największych sukcesów Cartera jest wypracowanie porozumień z Camp David w 1978 r. Do prowadziły one do zawarcia traktatu pokojowego między Izraelem a Egiptem.

Po zakończeniu rządów angażował się w negocjacje pokojowe, walkę o demokrację na świecie (w tym monitorowanie przebiegu wyborów) i poprawę warunków zdrowotnych w krajach rozwijających się, przede wszystkim w ramach Carter Center oraz Habitat for Humanity.

Nim rozpoczął karierę polityka, był plantatorem orzeszków ziemnych (to spuścizna po ojcu, który też się tym parzył) i oficerem marynarki wojennej. Przed sięgnięciem po prezydenturę zajmował fotel gubernatora Georgii. Angażował się wówczas m.in. w walkę z podziałami rasowymi.

Z żoną Rosalynn byli najdłużej żyjącą ze sobą parą w historii Białego Domu. Pobili się w 1946 r. Doczekali się trzech synów i córek, a także dziewięciu wnuków, trzech wnuczek, pięciu prawnuków i ośmiu prawnuczek. ● **Maciej Czarnecki**

Pracował nad tym, by eliminować choroby, wykuwać pokój i promować wolne wybory. Zawsze stał po stronie najsłabszych

PEKAO TOWER NA SPRZEDAŻ

Kultowy adres Grzybowska 53/57 na sprzedaż

Przez lata służył jako siedziba Banku Pekao S.A. Teraz gmach im. Mariana Kantona, zlokalizowany przy ul. Grzybowskiej 53/57, w dynamicznie rozwijającej się dzielnicy biznesowej, został wystawiony na sprzedaż.

Rok 2025 ma szansę zamknąć się ciekawą transakcją na rynku nieruchomości. Bank Pekao S.A. zdecydował o sprzedaży gmachu im. Mariana Kantona, powszechnie znanego jako Pekao Tower. To nie lada okazja inwestycyjna. Biurowiec zlokalizowany jest w samym sercu Warszawy, przy ul. Grzybowskiej 53/57, pomiędzy stacjami metra Rondo Daszyńskiego a Rondo ONZ. W okolicy znajdują się m.in. Platinum Towers, hotel Hilton, Warsaw Spire, kompleks Generation Park, Warsaw Unit, The Warsaw Hub i Plac Europejski.

To bez wątpienia jeden z najbardziej aktywnych rejonów biurowych pod względem nowych inwestycji w Warszawie, ale też jeden z ciekawiej rozwijających się. Znajdują się tutaj tętniące życiem Browary Warszawskie i Fabryka Norblina pełne kawiarni, restauracji i przestrzeni kulturalnych. Usytuowanie nieruchomości na tzw. Bliskiej Woli, będącej przedłużeniem biznesowego centrum Warszawy, gwarantuje śródmiejski charakter oraz doskonałą dostępność środków transportu publicznego – metra, tramwajów i autobusów.

Ponad 30 lat historii

Biurowiec przez ponad 30 lat był główną siedzibą banku. Budynek wpisał się w krajobraz nowoczesnego miasta swoją architekturą. Jego znakiem rozpoznawczym był napis z nazwą banku. Decyzja o sprzedaży Pekao Tower kończy ponad 30-letnią historię banku związaną z tym miejscem, ale jednocześnie stanowi szansę na zupełnie nowe otwarcie.

Budynek został zaprojektowany dla Banku Pekao S.A. w 1991 roku przez chorwackiego architekta związanego z Polską – Miljenko Dumenčica. Budowa obiektu trwała do 1993 roku. Był pierwszym w tej okolicy, nowoczesnym budynkiem biurowym i wieżowcem. Po otwarciu, nadano mu imię Mariana Kantona, ekonomisty i bankowca, który w latach 1981-1996 zajmował kierownicze stanowiska w grupie kapitałowej Banku Polska Kasa Opieki (obecnie Banku Pekao). W latach 1989-1996, czyli do czasu swojej tragicznej śmierci w wypadku samochodowym, Marian Kanton pełnił funkcję prezesa Banku Pekao.

20 kondygnacji

Nieruchomość zgodnie z miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego rejonu ulicy Żelaznej w Warszawie, położona jest na terenach zabudowy usługowej. Biurowiec ma 85 metrów wysokości całkowitej i 20 kondygnacji. Ma około 20 tys. m kw. powierzchni. Zajmuje działkę wielkości 2 488 m kw. Główne wejście do niego znajduje się od strony ulicy Grzybowskiej.

Na kondygnacjach podziemnych znajdują się: infrastruktura techniczna i miejsca parkingowe. Na parterze budynku są: hol główny wraz z recepcją, pomieszczenia dawnego oddziału banku oraz powierzchnia biurowa i techniczna. Pozostała część budynku pełniła głównie funkcje biurowe.

Ze względu na lokalizację i rozplanowanie wnętrza, nieruchomość jest unikalną okazją dla inwestorów.



Bank Pekao S.A. pisze swoją nową historię

Biurowiec ma szansę na nowo tętnić życiem. Od pomysłu inwestora zależy, jak przestrzeń zostanie zagospodarowana. Bank Pekao pisze natomiast swoją historię teraz w innym miejscu. Założony w 1929 roku, jest jedną z największych instytucji finansowych w regionie Europy Środkowo-Wschodniej i drugim największym bankiem uniwersalnym w Polsce z 288 mld zł aktywów. Posiadając drugą co do wielkości sieć oddziałów, Bank Pekao obsługuje

ponad 6,5 mln klientów. Jako wiodący bank korporacyjny w Polsce, obsługuje co drugą korporację w naszym kraju.

Obecnie nowa siedziba banku – Pekao Tower – znajduje się w kompleksie Forest, przy ul. Żubra 1 w Warszawie. Zmiana miejsca wynikała m.in. ze strategii ESG banku. Zastosowane w niej rozwiązania są przyjazne dla środowiska, a wykorzystanie najnowszych trendów w projektowaniu wnętrz stworzyło niepowtarzalny klimat, pozytywnie wpływający na doświadczenia pracowników i klientów.

• – **Hańba! Wszyscy są równi wobec prawa, panie sędzio! – takie okrzyki powitały przewodniczącego PKW Sylwestra Marciniaka, gdy wyszedł przed siedzibę PKW, by odczytać treść uchwały**

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Agnieszka Kublik, Iwona Szpala

– PKW musi rozstrzygnąć tę sprawę. Naszym zadaniem nie jest mnożenie wątpliwości, a decyzja – mówił przed posiedzeniem Marciniak.

Posiedzenie komisji trwało ponad 2 godziny. Według PAP za przyjęciem uchwały głosowało czterech członków PKW: Sylwester Marciniak, Wojciech Sych, Arkadiusz Pikulik oraz Mirosław Suski. Przeciw byli Ryszard Kalisz, Paweł Gieras i Maciej Kliś. Od głosu wstrzymali się Ryszard Balicki i Konrad Skłodowski, którzy w sierpniu głosowali za odebraniem PiS części finansowania.

„Niniejsza uchwała została podjęta wyłącznie w wyniku uwzględnienia skargi (PiS – przyp. red.) przez Izbę Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN i jest immanentnie i bezpośrednio powiązana z orzeczeniem, które musi pochodzić od organu będącego sądem w rozumieniu Konstytucji i Kodeksu wyborczego. PKW nie przesądza przy tym, iż IKNiSP SN jest sądem i nie przesądza o skuteczności orzeczenia” – czytamy w treści przyjętej uchwały.

Marciniak: Do wtorku decyzja u ministra finansów

– Hańba! Wszyscy są równi wobec prawa, panie sędzio! – takie okrzyki powitały przewodniczącego PKW Sylwestra Marciniaka, gdy wyszedł przed siedzibę PKW, by odczytać treść uchwały. – Wracam na posiedzenie, analizuję i podpisuję, więc nasza decyzja powinna dotrzeć do ministra finansów najpóźniej jutro – wyjaśnił sędzia. Tłumaczył, że według przepisów minister finansów, który wypłaca partiom budżetowe pieniądze, powinien podpisać przelewy dla PiS niezwłocznie. – „Niezwłocznie” to jest pojęcie ze słownika języka polskiego. Oznacza: natychmiast, w przeciągu kilku dni – sprecyzował.

– Od 2017 r. uznaję, że ta Izba nie jest sądem w myśl konstytucji i prawa europejskiego – mówił po decyzji PKW Ryszard Kalisz – Jestem konsekwentny, głosowałem przeciwko przyjęciu orzeczenia Izby. Złożyłem wniosek o zdjęcie tego punktu z porządku obrad. Bo jeśli nie uznajemy istnienia tej Izby, to uznajemy, że nie może wydawać żadnych postanowień, są one zatem bez znaczenia.

– Co dalej? – pytali dziennikarze Kalisza. – Są dwa wyjścia. Minister finansów wypłaci pieniądze albo nie wypłaci – odpowiedział.

Kalisz wydał oświadczenie, w którym stawia Marciniakowi zarzut, że ponowne rozpatrywanie punktu dotyczącego sprawozdania Komitetu Wyborczego PiS „jest narusze-

Jestem konsekwentny, głosowałem przeciwko przyjęciu orzeczenia Izby. Złożyłem wnioszek o zdjęcie tego punktu z porządku obrad. Bo jeśli nie uznajemy istnienia tej Izby, to uznajemy, że nie może wydawać żadnych postanowień, są one zatem bez znaczenia. Są dwa wyjścia. Minister finansów wypłaci pieniądze albo nie wypłaci

RYSZARD KALISZ
po decyzji PKW



PKW przyjęła sprawozdanie komitetu wyborczego PiS

Za przyjęciem sprawozdania głosowało czterech sędziów Państwowej Komisji Wyborczej, trzech było przeciw, a dwóch wstrzymało się od głosu. W połowie grudnia PKW odroczyła decyzję w sprawie sprawozdania PiS do czasu „systemowego uregulowania” przez władze statusu Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN.

niem stanowiska Państwowej Komisji Wyborczej przegłosowanego na posiedzeniu w dniu 16 grudnia 2024 roku”.

Dlaczego zmienili zdanie? „Środowiskowa presja”

Kalisz nie chciał tłumaczyć niekonsekwencji tych członków, którzy zmienili zdanie – przed tygodniem byli przeciw głosowaniu nad orzeczeniem Izby, a teraz się wstrzymali od głosu, co pozwoliło PKW przyjąć sprawozdanie PiS.

Z naszych nieoficjalnych informacji wynika, że dwóch członków PKW zmieniło zdanie pod wpływem środowiskowych nacisków. – Tłumaczyli, że środowisko naukowe źle to wszystko przyjmuje. Że jest podzielone w tej sprawie, bo są różne zdania w sprawie legalności tej izby, a PKW nie jest od interpretacji prawa. Że czują się odpowiedzialni za państwo, a wybory prezydenckie mogą zostać przez ten spór nieprzeprowadzone – słyszymy nieoficjalnie w PKW.

– Presja ma sens – komentował w Sejmie decyzję PKW Zbigniew Kuźmiuk z PiS. – Wystraszyli się odpowiedzialności na gruncie cywilnym – ocenił zachowanie dwóch osób z PKW, które wstrzymały się od głosu. Kuźmiuk stwierdził, że „decyzje o zagłodzeniu PiS zapadały na najwyższym poziomie politycznym ekipy rządzącej”, a teraz jego partia czeka na zaległe pieniądze. Jeśli minister finansów nie podpisze przelewu – podkreślał – „złamię ostentacyjnie

prawo i PiS będzie wyciągał wobec niego konsekwencje”.

Polityczny pat w sprawie Izby Kontroli

Stawką są miliony, które PiS wydał na kampanię parlamentarną z 2023 r. i które planował przeznaczyć na przygotowania do kolejnej kampanii przed wyborami prezydenckimi. W sierpniu większość PKW uznała, że komitet wyborczy PiS korzystał z nielegalnego finansowania. Finałem było odebranie partii Kaczyńskiego prawa do zwrotu blisko 11 mln zł za kampanię. O tyle samo spadło finansowanie budżetowe, które sięga 38 mln zł. Komitet wyborczy miał też zwrócić 3,6 mln zł, czyli to, co nielegalnie wydał.

PiS odwołał się od decyzji PKW do Sądu Najwyższego. Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN nie dopatrzyła się nieprawidłowości i nakazała PKW zmienić decyzję. Wśród siódemki, która zajęła się wnioskiem partii Jarosława Kaczyńskiego był sędzia, który sam chciał wyłączenia z orzekania, bo tłumaczył, że łączy go wieloletnia znajomość z posłem PiS. Mimo werdyktu sprawa potoczyła się inaczej – 16 grudnia większość w PKW zdecydowała, że sprawę zawiesza, a do tematu wróci po „uregulowaniu przez konstytucyjne władze RP statusu prawnego Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN oraz sędziów biorących udział w orzekaniu w tej izbie”.

W tej sprawie od miesiąca trwa polityczny pat. Propozycje zmian, które kładzie na stole rządowa większość nie mają akceptacji prezydenta. Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN nie jest sądem w myśl uchwały trzech połączonych izb SN ze stycznia 2020 r., Europejskiego Trybunału Praw Człowieka i Trybunału Sprawiedliwości UE. Chodzi o zasiadających w niej neosędziów z rekomendacji upolitycznionej Krajowej Rady Sądownictwa.

Marciniak ostrzegł przed paraliżem prawnym

Przewodniczący PKW Sylwester Marciniak od początku przekonywał, że przepisy nie pozwalają na podważanie orzeczeń SN. Przestrzegł też przed paraliżem prawnym, przypominając, że nieuznawana przez większość PKW Izba Kontroli Nadzwyczajnej rozstrzyga o ważności wyborów prezydenckich. Teraz upiera się, że decyzja PKW z 16 grudnia to w tej sprawie za mało, chce uchwały.

Pierwsze podejście było przed Wigilią, Marciniak zarządził zniechęca 23 grudnia zdalne głosowanie kilku uchwał. Sprawy finansów PiS nie było w porządku obrad, Marciniak umieścił ją wśród załączników. Ze skromnym opisem: „KW PiS po SN”. Tam wypatrzył ją Ryszard Kalisz zasiadający w PKW. Temat upadł, bo członkowie Komisji, którzy głosowali za odroczeniem, nie wzięli udziału w głosowaniu.

Po świętach Marciniak zarządził więc kolejne głosowanie – na 30 grudnia.

Przewodniczący PKW przed poniedziałkowym spotkaniem mówił dziennikarzom, że Komisja, która rozlicza komitety wyborcze, powinna dostać nowe narzędzia – m.in. uprawnienia procesowe, jak prawo do przesłuchiwanie świadków. Przed sierpniową decyzją w sprawie PiS komisja miała dostęp do audytów Kancelarii Premiera i ministerstw. Okazało się, że szef rządowego biura legislacji Krzysztof Szczucki miał na fikcyjnych etatach PR-owców, którzy robili mu kampanię. To dla nich stworzył nowy wydział pod hasłem edukacja i komunikacja i zaczął jeździć w teren głównie do swojego przyszłego okręgu wyborczego.

Szczuckim zajmuje się prokuratura. Ale PKW, utracając sprawozdanie PiS, opisała inne naruszenia. Chodzi m.in. o agitację wyborczą Jarosława Kaczyńskiego, który na piknikach wojskowych zagrzewał do głosowania na partię, spot ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry, który promował zmiany w kodeksie karnym i spacer po zdrowie z byłą wicepremier Jadwigą Emilewicz – imprezę opłaconą przez Kostrzyńsko-Słubicką Specjalną Strefę Ekonomiczną. PKW negatywnie oceniła także zlecenie dla państwowego instytutu NASK, który miał tropić fake newsy w mediach społecznościowych, a od września 2023 zajmował się badaniem wiarygodności PiS. ●

Bodnar eliminuje zbuntowanych zastępców

Po czasach Zbigniewa Ziobry Adamowi Bodnarowi pozostali w prokuraturze zbuntowani zastępcy, którzy otwarcie kwestionują jego decyzje. Także tę ostatnią – o ich przeniesieniu. Uważają, że to próba bezprawnego pozbawienia ich funkcji.

Ewa Ivanova

Trzech zastępców prokuratora generalnego Adama Bodnara „odziedziczonych” po czasach Zbigniewa Ziobry ma od lutego lub marca rozpocząć pracę w zamiejscowych wydziałach Prokuratury Krajowej, które zajmują się przestępczością zorganizowaną i korupcją – tzw. „pezetach”. Taką decyzję podjął 20 grudnia Bodnar.

Robert Hernand ma trafić do mazowieckiego „pezetu”, Michał Ostrowski do dolnośląskiego, a Krzysztof Sierak do śląskiego. To oznacza, że ludzie Ziobry wkrótce przestaną wykonywać czynności w siedzibie Prokuratury Krajowej w Warszawie na ul. Postępu 3.

Podpisane przez Bodnara dekrety kadrowe opublikował w serwisach społecznościowych prokurator Ostrowski. Dokumenty nie zawierają uzasadnienia i nie określają, jak długo zastępcy będą wykonywać czynności w „pezetach”. Jako podstawę prawną wskazano dwa przepisy. Jeden to artykuł z ustawy Prawo o prokuraturze, który mówi, że prokuratorem bezpośrednio zwierzchnim w stosunku do zastępców jest prokurator generalny. Drugą podstawą ma być przepisy prokuratorzkiego regulaminu, który wskazuje, że prokuratorzy pełniący funkcje kierownicze zapewniają prawidłową i sprawną realizację zadań służbowych w powierzonych im jednostkach.

Ostrowski w radiu Wnet poinformował, że wszyscy trzej zastępcy Bodnara stwierdzili wstępnie, iż nie podporządkują się bezprawnej ich zdaniem decyzji. Związane z ziobrystami stowarzyszenie Ad vocem grozi zaś odpowiedzialnością karną tym, którzy pomagają zaprowadzać zmiany w prokuraturze.

Prokuratura umeblowana przez Ziobrę

Ruch prokuratora generalnego nie jest zaskoczeniem. Bodnar, obejmując po wyborach władzę w prokuraturze, nie miał możliwości swobodnego doboru zaufanych kadr. Odziedziczył Prokuraturę Krajową umeblowaną przez Zbigniewa Ziobrę. Przed wyborami PiS, spodziewając się utraty władzy, pró-



• Trzech zastępców prokuratora generalnego Adama Bodnara „odziedziczonych” po czasach Zbigniewa Ziobry ma od lutego lub marca rozpocząć pracę w zamiejscowych wydziałach Prokuratury Krajowej

FOT. MACIEK JAŻWIECKI / AGENCIA WYBORCZA.PL

bował zabetonować ją swoimi ludźmi. Gros kompetencji prokuratora generalnego scedowano na prokuratora krajowego – wówczas Dariusza Barskiego, człowieka Ziobry, związanego ze stowarzyszeniem Ad vocem. A do odwołania prokuratora krajowego i innych zastępców prokuratora generalnego potrzebna jest zgoda prezydenta. Przy czym w ostatniej chwili PiS jeszcze zaostrzył przepisy: zgoda Andrzeja Dudy musi być wyrażona na piśmie.

W styczniu 2024 r. prokurator generalny Adam Bodnar wyeliminował Barskiego: na bazie opinii prawnych stwierdził, że nie jest on prokuratorem krajowym, bo przywrócenie go do służby ze stanu spoczynku w 2022 r. odbyło się na podstawie nieobowiązujących przepisów. Na miejsce Barskiego powołano najpierw jako p.o. PK Jacka Bilewicz, a potem Dariusza Korneluka.

Odsunięcia Barskiego nie uznają związani z Ziobrą zastępcy prokuratora generalnego i prezydent, po jego stronie opowiedział się także Trybunał Przylébskiej oraz neosędziowie z SN (skład z trójką z nich uznał, że powołanie Barskiego było skuteczne).

Większość sądów powszechnych nie podważa jednak zmiany prokuratora krajowego, a SN w składach złożonych ze „starych” sędziów uznał, że nie ma podstaw do kwestionowania statusu Korneluka.

Działacze Ad vocem

Teraz Bodnar zmarginalizował trzech najważniejszych zastępców z czasów Ziobry. Co ich łączy? Wszyscy to członkowie ziobrystowskiego stowarzyszenia Ad vocem, a także beneficjenci nagród i dodatków do pensji za czasów Ziobry. Po wyborach i zmianie prokuratora generalnego nie zaakceptowali nowych decyzji kadrowych Bodnara, według nich prokuratorem krajowym jest wciąż Barski. Mimo tego żaden z nich nie podjął decyzji o dymisji.

Krzysztof Sierak to zaufany człowiek Bogdana Święczkowskiego (obecnie prezesa TK, w przeszłości prokuratora krajowego), wywodzący się – podobnie jak on – z katowickich prokuratur, które za pierwszych rządów PiS słynęły z politycznych śledztw. Za pierwszych rządów Ziobry był szefem Prokuratury Okręgowej w Katowicach, a potem dyrektorem biura przestępczości zorganizowanej Prokuratury Krajowej. Nadzorował śledztwo przeciwko Barbarze Blidzie i domagał się przedstawienia jej zarzutów. Za drugich rządów Ziobry Sierak jako zastępca miał duży wpływ na kluczowe postępowania. Sprawował bezpośredni nadzór nad sprawami dotyczącymi zabójstwa prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Wcześniej zasłynął także tym, że osobiście wydał wrocławskim

śledczym polecenie wycofania aktu oskarżenia przeciwko byłemu księdzu Jackowi M., nacjonaliście oskarżanemu o nawoływanie do nienawiści wobec Żydów i Ukraińców. Odgrywał także istotną rolę w niedawno umorzonym śledztwie związanym z tzw. sprawą inowrocławską, w której szukano haków na senatora KO Krzysztofa Brejzę i jego ojca.

Robert Hernand to także katowicki prokurator, w przeszłości zastępca prokuratora generalnego Andrzeja Seremeta, potem Zbigniewa Ziobry. W 2017 r. zasłynął wydaniem prokuratorom w całym kraju polecenia przyglądania się sprawom rejestracji małżeństw zawartych przez pary jedнопłciowe za granicą. Prokuratorzy mieli włączać się do postępowań i nie dopuszczać do zarejestrowania takiego aktu w kraju. Hernand odegrał też niemałą rolę w sprawie przed TK, w której uznano, że przepisy zezwalające na przerwanie ciąży z powodu wad płodu są niekonstytucyjne. Należy do najbardziej zbuntowanych zastępców Bodnara: ma już postawione zarzuty dyscyplinarne za to, że 12 stycznia w siedzibie Prokuratury Krajowej kwestionował wymianę prokuratora krajowego i nagrywał Adama Bodnara. Potem nagranie rozpowszechniono w mediach sprzyjających PiS.

Z kolei Michał Ostrowski należy do zaciągu wrocławskiego w stowarzyszeniu Ad vocem. Za pierwszych rządów Ziobry w prokuraturze dostał w trybie nagrodowym tytuł prokuratora prokuratury apelacyjnej. Gdy Ziobro zaczął kierować ponownie prokuraturą w 2016 r., Ostrowski poszybował w górę, dostał tytuł prokuratora PK i szefował departamentowi postępowań gospodarczych. To on miał naciskać na postawienie zarzutów Romanowi Giertychowi. Ostrowski atakuje Bodnara publicznie, nazywa

następców Barskiego uzurpatorami. Ma już za to postawione zarzuty dyscyplinarne i w kolejnych sprawach jego zachowania bada rzecznik dyscyplinarny.

Trzej zbuntowani zastępcy uznali skierowanie ich do pracy w „pezetach” za próbę bezprawnego pozbawienia ich funkcji. Według nich decyzja Bodnara to quasi odwołanie bez pisemnej zgody prezydenta.

„Nie podporządkują się”

„Sprzeciwiamy się takiemu działaniu i uznajemy je za bezprawne, podkreślając, że nasz głos nie ma nic wspólnego z odmową występowania przed sądami w charakterze oskarżycieli publicznych i uczestników postępowań” – napisali w oświadczeniu.

Wskazują w nim na wyjątkowe usytuowanie zastępców PG w prokuraturze – ich jedynym przełożonym jest prokurator generalny, więc „już tylko nawet z przyczyn funkcjonalnych niemożliwe jest realizowanie przez nas obowiązków z strukturze Wydziałów Zamiejscowych, podległych pod innego Zastępcę Prokuratora Generalnego.”

„Do zadań Zastępcy Prokuratora Generalnego z pewnością nie należy bycie prokuratorem »liniowym«, nawet w tak poważnej jednostce, jak Wydział Zamiejscowy Prokuratury Krajowej. Miejscem urzędowania kierownictwa prokuratury zgodnie z art. 17 ustawy Prawo o prokuraturze jest siedziba Prokuratury Krajowej na ul. Postępu 3 w Warszawie” – czytamy w oświadczeniu.

Jak mówił Ostrowski w radiu Wnet, spodziewa się, że przeniesieni zastępcy nie będą mogli wejść do budynku.

Stowarzyszenie Ad vocem zaczyna grozić odpowiedzialnością karną tym, którzy pomagają zaprowadzać zmiany w prokuraturze. W serwisie X przypomina brzmienie art. 18 par. 3 kodeksu karnego: „odpowiada za pomocnictwo, kto w zamiarze, aby inna osoba dokonała czynu zabronionego, swoim zachowaniem ułatwia jego popełnienie, w szczególności dostarczając narzędzie, środek przewozu, udzielając rady lub informacji; odpowiada za pomocnictwo także ten, kto wbrew prawnemu, szczególnemu obowiązkowi niedopuszczenia do popełnienia czynu zabronionego swoim zaniechaniem ułatwia innej osobie jego popełnienie”.

I dodaje: „MS PG ma wielu doradców wśród prokuratorów, sędziów, adwokatów. Jeżeli ci doradcy spośród sędziów i prokuratorów wyobrażają sobie, że po takich sztosach, jak już będą w odpowiednim wieku i pomogą domknąć system, będą sobie spokojnie żyć lukusów w stanie spoczynku, mogą się gruntownie pomylić. W stanie spoczynku też ponosi się odpowiedzialność i taka odpowiedzialność może wiązać się z najsurowsze karą dyscyplinarną. I najśmieszniejsze, że akurat nie jest to nasze proctwo, tylko kogoś z doradców MS PG [Ministra Sprawiedliwości i Prokuratora Generalnego Adama Bodnara]”. •

• Katastrofa lotnicza w Muan, Korea Południowa

FOT. REUTERS / KIM HONG-JI



Żałoba narodowa po katastrofie w Korei Południowej

Śledczy biorą pod uwagę kombinację kilku czynników. W efekcie zginęło 179 pasażerów.

Maciej Czarnecki

Koreańczycy pogrzeżyli się w żałobie po tragicznych wydarzeniach z niedzielnego poranka. Należący do linii Jeju Air Boeing 737-800, który przyleciał z Bangkoku, awaryjnie lądował na międzynarodowym lotnisku w Muan. W wyniku problemów z podwoziem maszyna siadła na brzuchu, a następnie uderzyła w mur za pasem startu i lądowania.

To najtragicznější katastrofa lotnicza w dziejach kraju: zginęło 179 ze 181 na pokładzie. Przeżyło tylko dwoje stewardów.

Eksperci z USA w Seulu

W kraju zarządzono siedmiodniową żałobę narodową, która rozpoczęła się już w niedzielę. Flagi przy budynkach opuszczono do połowy masztów.

P.o. prezydenta Korei Południowej Choi Sang-mok, który sprawuje władzę dopiero od 27 grudnia, zarządził wielką inspekcję samolotów. Pierwszym krokiem ma być zbadanie wszystkich 101 Boeingów 737-800, z których korzystają południowokoreańscy przewoźni-

cy, ze szczególnym uwzględnieniem dokumentacji przeglądów kluczowych elementów.

W poniedziałek (30.12) do Seulu przyłatują eksperci amerykańskiej agencji U.S. National Transportation Safety Board (NTSB) oraz Boeinga. Media donoszą, że należący do Jeju Air samolot musiał powrócić po starcie na lotnisko Gimpo w Seulu z powodu problemów z podwoziem.

Właśnie problemy techniczne wydają się kluczowe w niedzielnej katastrofie. Wiadomo, że maszyna zderzyła się wcześniej ze stadem ptaków, ale dokładne przyczyny katastrofy wyjaśni śledztwo.

Z wraku wydobyto rejestratory parametrów lotu i rozmów w kokpicie, lecz odczytanie z nich danych będzie wyzwaniem, bo część aparatury została uszkodzona.

Co wiadomo o katastrofie lotniczej w Muan

Ministerstwo transportu poinformowało w poniedziałek, że kontrola lotów alarmo-

wała pilotów o krążącym w pobliżu lotniska stadzie ptaków. Niedługo potem piloci poinformowali o uderzeniu w to stado.

Podczas próby lądowania wysłali oni sygnał SOS i zasygnalizowali, że podniosą maszynę i spróbują ponownego podejścia. Ostatecznie nie udało im się bezpiecznie wylądować i samolot zaczął szorować brzuchem po pasie startowym o długości 2800 metrów, by w końcu wbić się w betonowy mur przy jednej z anten.

– Zwykle na końcu pasa do lądowania nie ma muru, tylko system zaprojektowany tak, by spowolnić samolot – mówi agencji Reuters Christian Beckert, ekspert od bezpieczeństwa lotniczego i pilot Lufthansy.

Śledczy biorą pod uwagę tragiczną kombinację czynników: uderzenie w ptaki, złe zaprojektowanie pasa startu i lądowania, awarię podwozia i pośpieszne decyzje pilotów. Chcą przyjrzeć się też działaniu systemów kontroli samolotu. Dla ekspertów cytowanych przez Reutersa nie jest jasne, dlaczego napędzany dwoma silnikami CFM 56-

7B26 samolot poruszał się po pasie z tak dużą prędkością.

Zidentyfikowano większość ofiar, dwie osoby przeżyły

Za pomocą analizy DNA lub odcisków palców zidentyfikowano już 141 ze 179 ofiar. Większość ze 175 pasażerów była Koreańczykami. Samolotem podróżowały też dwie kobiety z Tajlandii. Ofiary były w wieku od trzech do 78 lat. Wiele z nich wracało z zimowych wakacji w Tajlandii.

Ich rodziny spędziły noc na zamkniętym do środy lotnisku, gdzie w hali ustawiono dla nich specjalne namioty. Poza rozpaczą z powodu śmierci bliskich rosło wśród nich rozgoryczenie, że służby nie pokazały im jeszcze ciał bliskich.

Przewoźnik zapewnił, że zrobi wszystko, by wspierać krewnych pasażerów, w tym wypłaci pomoc finansową. Szef Jeju Air Kim E-bae zadeklarował podczas konferencji prasowej, że bierze „pełną odpowiedzialność” za katastrofę niezależnie od tego, co wykaże dochodzenie. Zapewnił, że podczas regularnych przeglądów nie wykryto żadnych problemów technicznych samolotu.

Z części ogonowej maszyny uratowano 33-letniego stewarda i 25-letnią stewardesę, którzy trafili do szpitali. Mężczyzna o nazwisku Lee ma złamanie żeber, łopatki i górnej części kręgosłupa.

– Obudziłem się dopiero, gdy byłem już uratowany – miał powiedzieć lekarzom.

Kobieta o nazwisku Koo ma obrażenia głowy i kostki. Jej stan lekarze oceniają jako stabilny. ●

Za pomocą analizy DNA lub odcisków palców zidentyfikowano już 141 ze 179 ofiar. Większość ze 175 pasażerów była Koreańczykami. Samolotem podróżowały też dwie kobiety z Tajlandii. Ofiary były w wieku od trzech do 78 lat. Wiele z nich wracało z zimowych wakacji w Tajlandii

Scenariusze dla świata 2025

Powrót Trumpa wstrząśnie polityką krajową i zagraniczną

Nadchodzący rok w Ameryce upłynie pod znakiem powrotu do Białego Domu Donalda Trumpa, który zapowiedział dalekosiężne reformy i przeformułowanie roli Ameryki w świecie.

Czarnecki



W serii prognoz „Wyborczej” na 2025 rok ta dotycząca USA jest szczególnie niepokojąca. Już 20 stycznia dojdzie bowiem do zmiany warty na najwyższych szczytach władzy.

Joe Bidena zastąpi człowiek, który cztery lata temu próbował podważyć jego zwycięstwo, a w listopadzie – mimo ogromnego bagażu pierwszej prezydentury, dwóch impeachmentów i procesów karnych na karku – wygrał wybory prezydenckie na fali rozgoryczenia wysokimi kosztami życia w Ameryce oraz umiejętnie podsycanego strachu przed imigracją, przestępczością, wojnami i coraz bardziej niepewną rzeczywistością.

Jak Ameryka Trumpa ułoży sobie relacje z Pekinem i Moskwą

Zdaniem ekspertów londyńskiego think tanku Chatham House najważniejsze dla świata decyzje, które stoją przed Donaldem Trumpem, dotyczą geopolitycznych relacji z Rosją i Chinami. To od nich będą zależeć pozostałe elementy układanki, od losów wspieranej przez USA Ukrainy po politykę celną.

Republikanin obiecał, że szybko zakończy wojnę w Ukrainie. W jego otoczeniu ścierają się różne pomysły, ale generalnie większość zakłada utworzenie patrolowanej przez Europejczyków strefy zdemilitaryzowanej oraz zatrzaśnięcie Ukrainie drzwi do NATO w najbliższym czasie.

Nowy amerykański prezydent może próbować skłonić Moskwę i Kijów do rozmów metodą kija i marchewki, czyli perspektywą zmniejszenia lub wstrzymania pomocy dla Ukrainy, jeśli ta nie zasiądzie do stołu, oraz zwiększenia jej, jeśli odmówi tego Rosja.

Decyzje, które podejmie Trump, odbiją się też na bezpieczeństwie wschodniej flanki NATO. Przywódcy od Tallina po Warszawę będą z niepokojem obserwować, jaką politykę będzie prowadził w Sojuszu i na ile utrzyma zaangażowanie Ameryki w zapewnianie europejskiego bezpieczeństwa.

Jeśli chodzi o politykę celną, Trump zapowiedział już konkretne kroki w celu ochrony amerykańskiego rynku. Na towary importowane z zagranicy miałby nałożyć obciążenia rzędu 10-20 proc. ich wartości, a w przypadku Chin, z którymi Amerykanie rywalizują na światowej scenie, nawet 60 proc. Grozi to wojną celną, która spędza sen z powiek decydującym w Pekinie.



• Zdaniem ekspertów najważniejsze dla świata decyzje, które stoją przed Donaldem Trumpem, dotyczą geopolitycznych relacji z Władimirem Putinem i Chinami

FOT. REUTERS / KEVIN LAMARQUE

Gorąco będzie już niemal od początku roku. Trump zapowiedział bowiem wydanie wielu rozporządzeń już pierwszego dnia rządów. To prezydencka tradycja, podobnie postąpił Joe Biden, odkręcając liczne posunięcia poprzednika

Prezydent-elekt zagroził też Meksykowi, że jeśli nie zacznie tamować przepływów migrantów do USA, w jego przypadku cła będą jeszcze wyższe.

2025 rok będzie dramatyczny dla imigrantów w USA?

Pod rządami Trumpa Stany Zjednoczone mają rozpocząć „największą operację deportacji nielegalnych imigrantów w historii”.

Republikanin najprawdopodobniej powoła się na Alien Enemies Act z 1798 r., który pozwala mu wydać z kraju każdego, kto nie jest amerykańskim obywatelem i pochodzi z kraju, z którym USA są w stanie wojny lub który groził albo próbował „inwazji lub drapieżnego najazdu”. Wywoła to batalię sądową, bo obrońcy praw człowieka i sami imigranci będą się bronić.

Tak czy inaczej, w 2025 r. możemy spodziewać się wielu dramatycznych historii znad granicy. W USA bez prawa pobytu przebywa blisko 11 mln osób.

Zacznie się jak u Hitchcocka. Trump szykuje rozporządzenia już od pierwszego dnia rządów

Gorąco będzie już niemal od początku roku. Trump zapowiedział bowiem wydanie wielu rozporządzeń już pierwszego dnia rządów. To pre-

zydencka tradycja, podobnie postąpił Joe Biden, odkręcając liczne posunięcia poprzednika.

Teraz możemy spodziewać się ruchów w drugą stronę, np. zniesienia części regulacji środowiskowych czy rewolucji w administracji publicznej, którą ma zapewnić zastąpienie tysięcy zawodowych urzędników średniego szczebla w różnych agencjach federalnych politycznymi nominatami.

Trump zapowiedział też szybkie ulaskawienia skazanych za szturm na Kapitol, których uważa za ofiary politycznego prześladowania. Za udział w dramatycznych wydarzeniach z 6 stycznia 2021 r., kiedy tłum podburzony kłamstwami Republikanina na temat „skradzionych wyborów” próbował nie dopuścić do formalnego zliczenia głosów elektorckich w Kongresie, skazanych zostało lub przyznano im winę ponad 1250 osób. Z tego 645 wlepiono kary więzienia, od kilku dni do 22 lat.

Prezydent-elekt zastrzegł, że mogą pojawić się pewne wyjątki, ale co do zasady zamierza uwolnić tych ludzi.

Walka o nominatów na Kapitolu

Od początku rządów Trumpa można nastawiać się na przeciąganie liny z senatorami, którzy muszą zatwierdzić nominatów na najważniejsze stanowiska w rządzie.

Niektóre nominacje – jak na sekretarza stanu dla senatora z Florydy Marco Rubio, który od dawna jest aktywny w polityce zagranicznej, a w zeszłym roku był współautorem ustawy zakazującej prezydentowi zarządzenia rejerady USA z NATO bez zgody Kongresu – powinny przejść bez problemu. Inne – jak na szefa Pentagonu dla pogrążanego przez skandale i mało doświadczanego byłego prezentera Fox News Pete’a Hegsetha – będą problematyczne.

Choć Republikanie będą mieć w Senacie większość (podobnie jak w Izbie Reprezentantów), pokazali już, że nie zawsze będą podporządkowywać się swojemu przywódcy, utracając kontrowersyjną kandydaturę kongresmena z Florydy Matta Gaetza na prokuratora generalnego.

Właśnie to stanowisko będzie jednym z najważniejszych, bo wielu komentatorów obawia się, że Trump spróbuje zaprząć aparat państwowy do zemsty na przeciwnikach politycznych, co zresztą wprost sygnalizował podczas kampanii.

W 2025 roku zbierze się nowy Kongres

Nowy, wybrany w listopadowych wyborach, Kongres zbierze się już 3 stycznia. Dzięki niemu Republikanie znów – podobnie jak np. podczas inauguracji Trumpa w 2017 r. – będą mieli tzw. trifectę, czyli kontrolę nad obiema izbami Kongresu oraz Białym Domem.

Nie znaczy to, że Trump będzie miał pełną wolną rękę do wprowadzania wszelkich, nawet najbardziej radykalnych reform. Bowiem wiele ustaw – poza budżetowymi – wymaga 60 głosów w Senacie, a tyle Republikanie nie mają. Ponadto hamulcowymi mogą być też co bardziej umiarkowani politycy w ich własnych szeregach.

Ciekawostka: choć wszystkie stany USA wysyłają do Waszyngtonu po dwóch senatorów, w 119. Kongresie tylko trzy z nich będą miały mieszane reprezentacje (jeden Demokrat, jeden Republikanin): Maine, Pensylwania i Wisconsin. To najmniejsza liczba, od 1914 r., w którym obywatele sami zaczęli wybierać senatorów. Dobitnie pokazuje, jak zaostrzyły się podziały w kraju.

A to wróży rok pełen napięć. ●
Maciej Czarnecki

Umowa śmieciowa, a nie etat dla kierowcy karetki

Kierowca karetki pozwał szpital w Szczecinie o ustalenie stosunku pracy. Chciał, by placówka dała mu etat, bo jeździł nawet 300 godzin miesięcznie. Liczba nadgodzin zadziałała na jego niekorzyść. Zostanie na umowie śmieciowej.

Dominika Maciejasz

Pan Leszek – kierowca karetki, pozwał Samodzielny Publiczny Wojewódzki Szpital Zespolony w Szczecinie o ustalenie stosunku pracy w 2023 r. Proces trwał rok – wyrok zapadł pod koniec listopada 2024 r. przed sądem rejonowym Szczecin-Centrum (sygn. akt IX P 464/23) na jego niekorzyść.

Dobowe dyżury, kilkadziesiąt godzin za kółkiem

Roszczenie o ustalenie istnienia stosunku pracy (na podst. art. 189 k.p.c.), z jakim wystąpił pan Leszek, może wnieść każdy, kto „ma w tym interes prawny”. Czyli ten, kto uważa, że naruszono jego prawa i chce, by wyrok sądu mu ochronę tych praw zapewnił.

Mężczyzna zaczął świadczyć usługi jako kierowca dla szpitala w Szczecinie w 2019 r. – miał uprawnienia do prowadzenia pojazdów uprzywilejowanych, jak karetki, a także transportu sanitarnego, woził pacjentów na rehabilitację, dostarczał sprzęt medyczny, przewoził też korespondencję medyczną. Wcześniej pracował dla innej placówki jako ratownik KPP (ratownik po kursie kwalifikowanej pierwszej pomocy – asystuje ratownikom medycznym). Gdy dowiedział się, że szczeciński szpital poszukuje kierowców, zgłosił się do działu kadr. Tam miał uzyskać zapewnienie od księgowej, że na umowę o pracę może liczyć dopiero wówczas, gdy się „sprawdzi”, a na razie szpital oferuje jedynie umowę zlecenie. Księgowa jednak później w procesie sądowym tej wersji nie potwierdziła.

Z mężczyzną ustalono stawkę godzinową za wykonywanie zleceń transportowych. Umowę zlecenie szpital przedłużał mężczyźni każdego kolejnego roku, choć za każdym razem pan Leszek pisemnie prosił o nawiązanie stosunku pracy (czyli umowy o pracę, regulowaną w kodeksie pracy). Dyrektor szpitala zawsze odmawiał na piśmie, wtedy pan Leszek zgadzał się na przedłużanie umów cywilnoprawnych. Spośród trzydziestu kierowców świadczących usługi dla szpitala tylko pięciu wieloletnich pracowników miało umowy o pracę. Reszta, podobnie jak pan Leszek, podpisywała umowy zlecenia.

Szpital opłacał mężczyźnie składki na ubezpieczenie: emerytalne, rentowe, składkę wypadkową oraz chorobową. Płatnego urlopu mu nie zapewniał – umowy śmieciowe (zlecenie, dzieło) go nie przewidują, podobnie jak ubezpieczenia od odpowiedzialności za straty i szkody wyrządzone placówce w związku z wykonywaniem przez niego usług jako kierowcy. Pan Leszek miał dyżury: 12- i 24-godzinne, wpisywane do szpitalnych grafików. Kiedy nie mógł przyjść do pracy, zastrzegł, w jakie dni nie uwzględniać go w grafiku. Pracował nawet 313 godzin w miesiącu. Jego wynagrodzenie mocno się wahało: np. w grudniu 2021 r. wyniosło 11 640 zł, podczas gdy w marcu 2023 r. tylko 692 zł. I właśnie ta rozbieżność w wynagrodzeniach oraz istotne różnice w poszczególnych miesiącach świadczenia usług (raz kilkadziesiąt godzin, innym razem – kilkadziesiąt) miały największy wpływ na wyrok sądu.

– Biorąc pod uwagę wynagrodzenie powoła za poszczególne miesiące, które diametralnie się różniło, a czasami prawie 10 000 zł, po-

twierdza to, że powód (pan Leszek – red.) miał dużą swobodę w kształtowaniu swojego czasu pracy i w ten sposób swojego wynagrodzenia.

Elastyczny czas pracy może być ujęty w umowie o pracę, ale nigdy się nie spotkamy z tak ogromnymi różnicami w płacach – argumentowała sędzia Joanna Szyjewska-Bagińska, która rozpatrywała jego sprawę.

Sędzia zaznaczyła, że najbardziej istotnymi elementami stosunku pracy są: obowiązek pracownika świadczenia pracy osobiście, w sposób ciągły, podporządkowany poleceniom pracodawcy, który jest obowiązany do wynagrodzenia pracownika. O kwalifikacji umowy decyduje w pierwszej kolejności zasada swobody umów. „Wskazana rozbieżność liczby godzin pracy występująca w poszczególnych miesiącach jest charakterystyczna dla umów cywilnoprawnych. Nie jest natomiast charakterystyczna dla stosunku pracowniczego, który cechuje w zasadzie równa ilość pracy w każdym miesiącu. Za cywilnoprawnym charakterem stosunku łączącego strony procesu przemawiała także okoliczność, iż to powód (pan Leszek) deklarował każdorazowo liczbę godzin, jaką przepracuje w kolejnym miesiącu i na podstawie tej deklaracji oraz wykazu dni, w których chciał mieć wolne, pracodawca układał grafik pracy powoda i całego zespołu w kolejnym miesiącu” – czytamy w uzasadnieniu wyroku. – Powód miał ogromną swobodę w kształtowaniu swojego wymiaru czasu pracy, co nie jest charakterystyczne dla stosunków pracy wynikających z umów o pracę – skwitowała podczas ogłaszania wyroku sędzia Szyjewska-Bagińska.

Zbyt dużo nadgodzin, ryzyko dla szpitala

Sędzia zaznaczyła, że zdarzają się przypadki, kiedy dana umowa wykazuje cechy zarówno umowy o pracę, jak i cywilnoprawnej (zlecenie, dzieło). „Jeżeli jednak w treści umowy łączącej strony trudno wskazać jednoznacznie, które elementy przeważają, przyjąć należy, iż decydujące znaczenie winna mieć wola stron” – czytamy w uzasadnieniu wyroku. Tymczasem szpital od samego początku nie wykazywał woli zawarcia z panem Leszkiem umowy o pracę. Odmawiano mu tego też na piśmie.

Sędzia zwróciła też uwagę na sytuację szpitala, który nie może sobie pozwolić na brak kierowcy karetki na dyżurze, bo to groziłoby paraliżem placówki i zaniebdaniem pacjentów potrzebujących pomocy.

– Mając na uwadze konieczność obsadzenia wszystkich dyżurów w miesiącu – taka forma zatrudnienia (umowy cywilnoprawne) wydaje się racjonalna ze strony szpitala, gdyż zatrudnienie cywilnoprawne daje zleceniodawcy większą elastyczność w planowaniu dyżurów 12- i 24-godzinnych oraz ich „obsadzenia” 365 dni w roku – argumentowała sędzia.

Nie chodziło jednak tylko o bezpieczeństwo pacjentów czy ewentualny paraliż pracy szpitala. Gdyby pan Leszek pracował tyle godzin (ponad 300 w miesiącu) będąc zatrudnionym na umowę o pracę, szpital naraziłby się „na naruszenie rocznego limitu pracy w godzinach nadliczbowych”. Krótko mówiąc – złamałby prawo.

Podstawowe elementy świadczenia pracy na etacie to właśnie miejsce pracy, wykony-



• Wynagrodzenie pana Leszka mocno się wahało: np. w grudniu 2021 r. wyniosło 11 640 zł, podczas gdy w marcu 2023 r. tylko 692 zł. M.in. ta rozbieżność w wynagrodzeniach miała wpływ na wyrok sądu FOT. JAKUB PORZYCKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jeżeli ktoś jednego miesiąca pracuje przez wszystkie dni robocze, a w kolejnym – np. tylko w dni świąteczne, bo takie wziął dyżury, sąd dostaje argumenty, że praca ta nie jest klasyczną formą pracy na etacie i może nie uznać zaistnienia stosunku pracy. Tak, jak to było w przypadku pana Leszka

wanie jej osobiście (a nie przez podwykonawców), godzinowy wymiar czasu pracy i właśnie podległość służbowa (czyli mamy szefa, który zleca nam zadania, zamiast świadczenia usług dla jakiegoś podmiotu na podstawie podpisania z nim umowy). W umowie pana Leszka ani miejsce, ani godziny pracy określone nie były. Ale też sąd przywołał wyrok Sądu Najwyższego (III PK 128/17), zgodnie z którym w umowach cywilnoprawnych mogą być wskazywane miejsce, godziny rozpoczęcia i zakończenia realizacji zadań (dzieła, usługi, itp.) oraz występować pewne cechy kierownictwa i podporządkowania czy kontroli sposobu realizacji warunków umowy.

Śmieciówek dużo, pozwów jak na lekarstwo

Co zatem tak naprawdę decyduje, czy proces o ustalenie stosunku pracy można wygrać, jeśli pracodawca wypchnie nas na tzw. śmieciówkę? Jak mówi Mateusz Rzemek z Państwowej Inspekcji Pracy, z kodeksu pracy nie wynika „domniemanie stosunku pracy w każdej sytuacji, gdy zatrudniony wykonuje osobiście pracę zorganizowaną przez zatrudniającego, a nawet przy jego kontroli oraz kierownictwie”.

– Sąd Najwyższy stwierdził, że stosunek pracy jest częścią szerszego pojęcia zatrudnienia czy pracy za wynagrodzeniem. O wyborze rodzaju podstawy prawnej zatrudnienia decydują zainteresowane strony. O tym, czy w danym przypadku mamy do czynienia ze stosunkiem pracy, decyduje nie nazwa umowy zawartej między stronami, lecz warunki, w jakich praca jest faktycznie świadczona – dodaje Rzemek.

Te warunki to właśnie m.in. stałe godziny pracy i jej miejsce. Jeżeli ktoś jednego

miesiąca pracuje przez wszystkie dni robocze, a w kolejnym – np. tylko w dni świąteczne, bo takie wziął dyżury, sąd dostaje argumenty, że praca ta nie jest klasyczną formą pracy na etacie i może nie uznać zaistnienia stosunku pracy. Tak, jak to było w przypadku pana Leszka.

Słabszym argumentem przemawiającym za śmieciówką jest natomiast to, że ktoś się zgodził na umowę zlecenie czy dzieło. Jeśli pracodawca go na taką umowę „wypchnął” i osoba ta się zgodziła, nie blokuje to korzystnego dla niego rozstrzygnięcia. – Ustalenie stosunku pracy jest okolicznością obiektywną, niezależnie od tego, czy dana osoba na fikcyjną umowę się zgodziła, czy też nie. Nawet w przypadku dobrowolnego zgłoszenia się do kontraktu B2B zamiast umowy o pracę sąd może ten stosunek pracy ustalić – mówi mec. Marek Jarosiewicz z kancelarii Wódkiewicz Sosnowski ze Szczecina.

Pan Leszek musi teraz zapłacić koszty sądowe (wniesienia powództwa i zastępstwa procesowego, czyli wynagrodzenia pełnomocników obu stron).

Jak wynika z danych sądowych, niewiele osób w Polsce decyduje się walczyć w sądzie o tzw. zamiar umowy śmieciowej na umowę o pracę. W warszawskim sądzie pracy takich spraw toczy się obecnie 48, w Krakowie – 60 (dane są niepełne, czasem roszczenie o ustalenie stosunku pracy jest elementem innego procesu). Tymczasem są w Polsce firmy, w których pracuje kilkadziesiąt osób i wszyscy zawarli ze spółką kontrakty B2B. Mimo iż jako prowadzący jednoosobową działalność gospodarczą wystawiają co miesiąc jedną fakturę, do jednego i tego samego podmiotu, na tę samą kwotę, są w podległości służbowej i mają swoje biurko oraz wyznaczony czas pracy w tej firmie.

Według najnowszych danych GUS na śmieciówkach pracuje w Polsce 2,4 mln osób. Aż 87,5 proc. z nich podpisano w sektorze prywatnym.

Państwowa Inspekcja Pracy ma dostać uprawnienia do kontroli fikcyjnych form zatrudnienia, ale wciąż czeka na wdrożenie przepisów.

Pracodawca, który by przegrał taki proces, musi naliczyć wstecz zaległy urlop, wypłacić pieniądze za nadgodziny, delegacje, naliczyć okres wypowiedzenia, opłacić składki na ubezpieczenie społeczne (przy umowie zlecenie są one obowiązkowe, ale przy B2B opłaca je osoba prowadząca jednoosobową działalność) i ubezpieczyć od ewentualnych szkód, do których może dojść w trakcie wykonywania pracy przez taką osobę. ●

Gazprom uderzy w Naddniestrze. Energetyczne manipulacje Moskwy

Od nowego roku Gazprom przestanie dostarczać gaz zakontraktowany przez firmę Moldowagaz z Moldawii. To pogrąży w zimnie prorosyjskie Naddniestrze, korzystające dotąd z surowca Gazpromu.

Andrzej Kublik

Moskwa postanowiła wywołać kryzys energetyczny w Moldawii, której obecne władze prowadzą prozachodnią politykę.

Gazprom ogłosił, że od 1 stycznia 2025 r. ogranicza do zera dostawę gazu spółce Moldowagaz z Moldawii, oskarżając ją o zaleganie z uregulowaniem długów za dostarczony w przeszłości surowiec.

Premier Moldawii Dorin Recean w reakcji na oświadczenie Gazpromu zapowiedział, że Moldawia pozwie rosyjski koncern do międzynarodowego arbitrażu za zerwanie kontraktu obowiązującego do końca 2026 r.

Jednocześnie premier Recean podkreślił, że rząd Moldawii nie będzie uznawał żadnych rzekomych długów, które w wyniku międzynarodowego arbitrażu zostały uznane za nieważne.

W poniedziałek premier Moldawii polecił też rządowi przygotować przepisy, które pozwolą na szybką nacjonalizację gazowej firmy Moldowagaz. Obecnie rząd Moldawii ma 35 proc. akcji tej firmy, a ponad 50 proc. należy do Gazpromu. - Musimy się pozbyć wszystkich instrumentów, które mogą być wykorzystane, aby nas szantażować - powiedział szef moldawskiego rządu.

Gazprom wciska długi

Gdy latem 2021 r. po wyborach w Moldawii władzę przejęła pro-



demokratyczna i prozachodnia Partia Akcji i Solidarności, której przedstawicielka Maja Sandu wcześniej wygrała wybory prezydenckie, Moskwa rozpoczęła kampanię nacisków energetycznych na Moldawię.

Gazprom groził, że nie przedłuży kontraktu ze spółką Moldowagaz, której największym akcjonariuszem jest rosyjski koncern, jeśli nie spłaci ona długów za wcześniejsze dostawy gazu. To zadłużenie Gazprom wycenił na 433 mln dol., a z odsetkami na 709 mln dol. Jednocześnie Rosjanie zaczęli ograniczać dostawę gazu Moldawii.

Z odsieczą ruszyło polskie PGNiG, który pierwszy raz w historii przełamał monopol Gazpromu na dostawę gazu do Moldawii. A śladem polskiego koncernu poszły także firmy energetyczne. Pod presją UE Rosjanie zgodzili się przedłużyć kontrakt z Moldowagaz na pięć lat. A rząd Moldawii zgodził się spłacić dług w wysokości zweryfikowanej w międzynarodowym audycie.

Audyt wykonały wybrane w międzynarodowym przetargu renomowana norweska kancelaria prawna

• **Zakład dystrybucji gazu Kiszyniów-1 firmy energetycznej Moldovatransgaz**

FOT. REUTERS / VLADISLAV CULIOMZA

Dług Moldawii

8,6

MLN DOL.

• **Tylko tyle według niezależnych audytorów wynosi ewentualny dług Moldowagaz wobec Gazpromu. Ich zdaniem większość roszczeń Gazpromu jest przeterminowana lub wątpliwa, a Moldawia sama ma podstawy do odszkodowań od rosyjskiego koncernu**

Wikborg Rein Advokatfirma i międzynarodowa firma doradcza Forensic Risk Alliance &Co.

We wrześniu zeszłego roku Kiszyniów poinformował, że audyto-

rzy ocenili, iż większość roszczeń Gazpromu jest przeterminowana lub wątpliwa, a Moldawia sama ma podstawy do odszkodowań od rosyjskiego koncernu. W ocenie audytorów ewentualny dług Moldowagaz wobec Gazpromu wynosi tylko 8,6 mln dol., nieco ponad 1 proc. kwoty żądanej przez rosyjski koncern.

Gazprom zakwestionował takie wyniki audytu, twierdząc, iż nie uwzględniono jego sugestii co do wyboru rewidentów.

Moskwa zamrozi Naddniestrze

Dwa lata temu Moldawia uniezależniła się już od gazu z Rosji. Dzięki pomocy UE i USA oraz polskich menedżerów Moldawia przestała korzystać z surowca Gazpromu, importując za pośrednictwem Rumunii gaz od dostawców spoza Rosji.

Surowiec zakontraktowany w Gazpromie Moldawia w całości pozostawiała w Naddniestrzu, prorosyjskiej separatystycznej prowincji na lewym brzegu Dniestru. W zamian Moldawia sprowadzała energię elektryczną, wytwarzaną z tego gazu w elektrociepłowni w Naddniestrzu – jedynym takim zakładzie w Moldawii.

W przeszłości Gazprom latami nie ściagał od Naddniestrza kilku miliardów dol. za dostarczony tam gaz, faktycznie utrzymując w ten sposób u władzy prorosyjskich separatystów.

Wstrzymanie przez Gazprom realizacji kontraktu z Moldowagaz oznacza więc cios w Naddniestrze. Tamtejsze władze w Tyraspolu trzy tygodnie temu wprowadziły stan nadzwyczajny w energetyce. Zapowiedziały, że w razie wstrzymania dostaw gazu, jego zapasów w rurociągu starczy na dostawy do kuchni gazowych w wielopiętrowych domach, wstrzymane zosta-

na jednak ogrzewanie i dostawy ciepłej wody. Władze Naddniestrza twierdzą też, że mają zapasy węgla na 50 dni wytwarzania prądu dla gospodarstw domowych i szpitali.

Także w Moldawii w połowie grudnia wprowadzono stan nadzwyczajny w energetyce, trzeci już raz w ostatnich trzech latach. Spółka Moldowagaz twierdzi, że zamówiła dość gazu, aby w pełni zaspokoić zapotrzebowanie w prawobrzeżnej części Moldawii do końca marca. Jednak wstrzymanie dostaw energii elektrycznej z Naddniestrza zmusi Moldawię do zwiększenia importu energii z Rumunii. Ta w geście solidarności zgodziła się potroić w pierwszym kwartale 2025 r. dostawy do Moldawii prądu po ulgowych cenach.

Gazowa broń Putina

W Moskwie odpowiedzialnością za tę sytuację próbują obarczyć też Ukrainę, która nie zgodziła się przedłużyć umowy o tranzycie rosyjskiego gazu, wygasającej z końcem tego roku.

Gazprom mógł jednak dostarczać gaz do Moldawii dla Naddniestrza alternatywnym szlakiem, czarnomorską rurą TurkStream, a potem transbałkańskim rurociągiem przez Bułgarię i Rumunię. Rosyjski koncern nie skorzystał jednak z tej możliwości. W grudniu nie zarezerwował przepustowości w transbałkańskim rurociągu, a teraz całkowicie wykluczył taką możliwość, zapowiadając kompletne wstrzymanie realizacji kontraktu z Moldowagaz.

To znaczy, że Moskwa celowo dąży do wywołania kryzysu energetycznego w Moldawii. Zamrożenie mieszkańców Naddniestrza będzie wyzwaniem dla Kiszyniowa. Tym większym, że w przyszłym roku mają się w Moldawii odbyć wybory parlamentarne, w których o powrót do władzy będą się starać ugrupowania prorosyjskich polityków. ●

OĞŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310982

W CZWARTEK W „WYBORCZEJ”

Co się zmieni w 2025 r.

- O ile podrożeje jedzenie, benzyna, prąd...
- O ile wzrosną emerytury
- Jakie zmiany czekają mikroprzedsiębiorców

Dodatek
specjalny





Gwiazdą jest Janusz Gajos. Ja jestem gościem, który czyta z promptera. Czasem zadaję pytania politykom, bo taką mam robotę

Marek Czyż, twarz nowej, lepszej TVP

Ja, zarwódm. wymierają

Z MARKIEM CZYŻEM ROZMAWIA
AGNIESZKA KUBLIK

AGNIESZKA KUBLIK: Pamiętam, że kiedy zadzwoniłam w połowie grudnia zeszłego roku, by zapytać, czy to pan poprowadzi nowe „Wiadomości”, odparł pan: „Pierwszy raz o tym słyszę”. To było tak ściśle tajne?

MAREK CZYŻ: Bo wprawdzie już wtedy przygotowania do nowego dziennika trwały, ale były niekompletne personalnie i ramówkowo. Wszyscy wiedzieli, że zmiana nastąpi na pewno, bo nie może być tak, że pani Holecka czy pan Adamczyk będą recenzowali rząd Donalda Tuska. Natomiast nikt nie był pewien, jak to się będzie układało personalnie.

Że to nie pan poprowadzi „19:30”?

– Rozmawialiśmy kiedyś o tym, że bym się zajął prowadzeniem redakcji dziennika, ale z wielu osobistych powodów to nie wchodziło w rachubę.

Bo?

– Po pierwsze, bo Śląsk, więc nie jestem w stanie związać się z Warszawą na stałe. Po drugie, umiarkowanie się nadaję na szefa. Wiem to po pewnych doświadczeniach, także z Radiem ZET...

...gdzie był pan szefem informacji przez półtora roku...

– ...tak, i nie ma sensu sobie zwracać tym głowy. Jestem zadaniowcem, więc

szosę figur wykonam, ale nie każdą wymyśle, więc lepiej się trzymać tego emploty.

O co chodzi z tym byciem szefem?

– Ktoś mi kiedyś powiedział, że dobry szef jest – i tu musiałoby paść bardzo niecenzuralne słowo, więc go nie użyję, ale pewnie się pani domyśla. A ja nim nie jestem, nie potrafię.

Pierwsza litera „c”, druga „h”?

– Trafiony, zatopiony. Dziś dobry szef jest kimś takim właśnie.

Czyli kim? Wymagający czy dręczący?

– Nie dręczący. Ale wymagający. Bardzo wymagający. Często, niestety, oczekujący rzeczy niemożliwych i z lubością cytujący różne dyrdymały o tym, że dziennikarza usprawiedliwia jedynie własnoręcznie dostarczony akt zgony.

To nie mogę nie zapytać teraz, czy ma pan dobrych szefów?

– (śmiech) Mam szczęście mieć do-
brych.

I w życiu miałem dobrych szefów, łącznie z moim przyjacielem Kamilem Durczokiem, który był moim szefem dwa razy w życiu. To nie było dobre doświadczenie, ale szefem w rozumieniu, o którym mówimy był dobry. Oj, dobry.

Miał sprawę o mobbing. Potem były i kolejne afery, narkotyki w mieszka-

niu, w którym mieszkał, prowadzenie samochodu po wypiciu alkoholu.

– Nie mam żadnej wiedzy na ten temat, bo nie pracowałem w TVN. Ale potrafię sobie wyobrazić, że pomylił kiedyś stanowczość z apodyktycznością, asertywność z agresją. Jemu się serio wydawało, że w robocie nie ma miękkiej gry, bo na końcu jest widz i guzik go obchodzi jak, ale ma dostać towar najwyższej próby. Do mobbingu jest tu blisko.

Różni ludzie mają mniej, czy bardziej głęboko pochowane po kieszeniach różne rachunki krzywd z czasów pracy z Kamilem. I ja to doskonale rozumiem. Ale nie potrafię go inaczej wspominać. Kamil był dziwnym połączeniem silnej osobowości i słabego charakteru. Ale ja za dobrze znam to nasze środowisko, by wiedzieć, że jeśli chodzi o słabości, to żadnym białym krukiem nie był. To są choroby zawodowe. Wiem to z pewnością!

Durczok prezenterem był niezłym.

– Miał coś takiego, że był gwiazdą. Ale to były inne czasy. Kiedy myśmy zaczęli pracę w telewizji, to kosmos był pusty. Dziś tak nie jest. Dziś nie ma możliwości wykreowania takiej gwiazdy, jak Kamil Durczok. To się już nie wydarzy.

A gwiazda Marek Czyż?

– Gwiazdą jest Janusz Gajos. Ja jestem gościem, który czyta z promptera. Czasem zadaję pytania politykom, bo taką mam robotę.

Durczok też to robił, a jednak mówi pan o nim „gwiazda”.

– Był gwiazdą innego typu, w innym miejscu i w innym czasie. Wtedy było miejsce na gwiazdy tego rodzaju. Tych przepytawczy – których dziś tak nazywamy – było wtedy może z siedmiu w Polsce? Telewizje były dwie, potem trzy. Jedna się nie liczyła, bo Polsat w ogóle nie stawiał na takie formaty informacji publicystycznej, więc Kamil był jedyny. Potem był jednym z pięciu, siedmiu, dziesięciu, dwunastu, potem ta liczba rosła gwałtownie i niestety jesteśmy w takim miejscu, w którym już taka gwiazda się nie pojawi.

Dziwiło mnie, że pan takiej kariery jak Durczok nie zrobił, bo jest pan zdolniejszy. Ma pan to, co on, tylko więcej, luz i naturalność przed kamerą.

– Nie wiem, czy tego da się nauczyć, po prostu się to ma, albo tego nie ma.

Talent?

– Raczej bym powiedział predyspozycje niż talent.

Pana nie ciągnęło do ogólnopolskiej kariery?

– Pewnie, że ciągnęło, każdego dziennikarza ciągnie. Kamil miał mniej oporów niż ja. On był dużo bardziej żywotowo bezczelny, w dobrym tego słowa znaczeniu. Był dużo bardziej próżny i też mówię o tym dlatego, że uważam,



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

w życiu. To są ludzie, którzy są gotowi do poświęceń dla nas.

To aluzja do „przyjaciół” lajkujących w mediach społecznościowych?

– Bo to nie są przyjaciele. Przyjaciół jest kimś, kto ci poda rękę, kiedy naprawdę tego potrzebujesz, zrobi to bezinteresownie, ponosząc jakąś ofiarę. Jeśli ktoś wykonuje gest, który go nic nie kosztuje, to nie jest to przyjaźń, to jest po prostu opędzenie się od muchy. A kiedy ktoś robi coś naprawdę z poświęceniem – to jest przyjaciel.

Kamil to był przyjaciel, taki prawdziwy. Więc ja nigdy nie będę mówił, że zaprzepaściłem jakieś szanse, bo Durczok. Mnie wiele rzeczy dobrych zawodowo spotkało, bo Durczok.

No i teraz pan twarzą głównego dziennika telewizji publicznej. Stacji uratowanej i naprawianej.

– To się musiało stać, po prostu. To nie mogło trwać.

TVP to dziś media rządowe, czy publiczne?

– Publiczne, na pewno.

Do dziś ludzie mijają mnie na ulicy, czasem kpiarsko, czasem z pretensją, czasem z agresją, mówią: – No jak tam, „czysta woda”!

To aluzja do oświadczenia, które pan wygłosił 20 grudnia zamiast „Wiadomości”: „Zamiast propagandowej zupy, chcemy państwu zaproponować czystą wodę. Nie dlatego, że jest szlachetna, ale dlatego, że nie niesie żadnych nachalnych smaków”.

– Nigdy na te zaczepki nie odpowiadam, nie ma sensu wdawanie się z takimi ludźmi w jakąkolwiek debatę, bo nie będzie całkowicie czystej wody dla wszystkich. Zawsze ktoś znajdzie w niej paproch, taki albo inny.

Pytanie, kto to ocenia. Pani czy na przykład Patryk Jaki. Dla Patryka Jakiego będzie to szambo i zgnilizna. Dla pani – zakładam – i dla wielu, wielu ludzi, to może nie będzie całkowicie czysta woda, ale kiedy porównamy tamtą ciecz, która się stąd wylewała z tym, co jest teraz, to płynnie kropliczanka.

A dla pana?

– Staramy się nie robić tego, co tu przed nami robili. Uprawiamy ten zawód uczciwie i czysto. Nie ma dziennikarstwa obiektywnego, takie zwierzę nie żyje już bardzo dawno. Dziennikarstwo powinno być uczciwe.

Co to jest zatem „obiektywne dziennikarstwo”? Bo ciągle takie przywołujemy, z „kiedyś”. Kiedy takie było?

– Dziennikarstwo nigdy nie było obiektywne. Chyba że było albo jest prostym biuletynem. Ale takiego nikt dziś nie ceni. Publiczność od dziennikarzy oczekuje wyrazistości. Tylko dla jednych jesteśmy wyraziści, a dla innych stronniczy. Pani jest wyraziści dla czytelników „Wyborczej”, ale stronnicza dla czytelników „Gazety Polskiej Codziennie”. To samo dotyczy Michała Rachonia, tylko w drugą stronę.

Poza tym, w definicję publicystyki wpisany jest subiektywizm. Proszę się nie obrazić o zestawienie. Opisuję tylko zjawisko.

Uczciwość dziennikarska nie zakłada już obiektywizmu?

– Uczciwość dziennikarska zakłada przyzwoitość intencji. Mamy prawo proponować odbiorcy nasz punkt widzenia, ale nie możemy zakładać, że chcemy osiągnąć tym jakiś cel, odpowiadający naszym zapatrywaniom na świat. Odbiorca nie może być przez nas świadomie okłamywany. Eteryczna granica, ale tak to widzę.

Tekst oświadczenia o „czystej wodzie” pisał pan sam?

– Ja go nie pisałem, ja go wymyśliłem. Nie napisałem ani jednego zdania w tym tekście. Mówiłem całkowicie z głowy, z jednym dublem, który wymusił na mnie mój szef Grzegorz Sajor, że zrobimy dubla na wszelki wypadek.

Miałem trzy godziny podczas jazdy samochodem z Katowic do Warszawy, żeby to wymyśleć. Dosłownie kilka godzin wcześniej zapadła decyzja, że robimy nowy dziennik i musimy ludziom wytłumaczyć, dlaczego. Padło, że ja będę tłumaczyć. Z przyjacielem wymyśliśmy, że porównanie do „czystej wody” będzie dobre, zresztą kiedyśmy na to wpadli, nie wiedzieliśmy, że dojdzie do takich zmian w TVP.

„Czysta woda” jest na wyrost oczywiście trochę, ale jak szukasz symbolu tego, co chcesz zaproponować zamiast ścieku, który tu był, to musi być coś „czystego” i stąd „czysta woda”. Jest neutralna, nie ma smaku, nie ma zapachu, nie ma koloru. I to jest ideał, do którego trzeba dążyć. On nie jest osiągalny nigdy, dla nikogo to nie będzie całkowicie czysta woda.

Nudna ta „czysta woda”, powiadają.

– To dla mnie komplement.

Bo nuda w porównaniu do „Wiadomości” TVP?

– No jeżeli punktem wyjścia jest to, co było tutaj wcześniej...

„Fakty” TVN?

– Też nie. Już to sobie powiedzieliśmy, nie ma obiektywnego dziennikarstwa, musi być uczciwe.

Tam jest nieobiektywnie?

– Tam jest uczciwie, ponieważ wszyscy wiedzą, jaka jest proveniencja intelektualno-ideologiczna ludzi, którzy tam pracują, jaki oni wyznają system wartości. Zgodzili się, że razem tworzą taką firmę mediową, wolno im to robić. I mówią odbiorcom: – Słuchajcie, my patrzmy na świat tak.

„Fakty” są uczciwe w tym znaczeniu, że tam są kontrapunkty, kontrawypowiedzi, ale nikt nie może powiedzieć, że to jest całkowicie obiektywna telewizja. I to nie jest żaden zarzut.

Tu macie inny system wartości?

– Możemy mieć bardzo podobny, ale nam mniej wolno, dużo mniej, bo je-

steśmy telewizją publiczną. I o to będę się tu zawsze bił, żebyśmy proponując opowieść o jakimś zjawisku, podpowieździeli, że jest też inny punkt widzenia i go zacytowali. Gdyby ktoś chciał przebadać każde kolejne wydanie „Wiadomości” i porównać z tym, co robimy teraz, to nie będzie żadnych wątpliwości, że my robimy to dużo, dużo uczciwiej. Na pewno.

Oglądał pan „Wiadomości”?

– Oczywiście, że oglądałem, co nie było łatwe. Ale jeżeli się kogoś ocenia, trzeba obejrzeć i tyle. To było trudne emocjonalnie, ale poznawczo bardzo łatwe, bo codziennie można było trafić na ten sam zestaw zarzutów wobec opozycji. Zmieniały się nazwiska, zdarzenia, ale reszta – sposób narracji, konstrukcja, słownictwo, przekaz – były takie same. Dlatego naprawdę trudno było to znieść oglądanie czegoś takiego codziennie, tym bardziej że robili to ludzie, których znałem, siedziałem z nimi biurko w biurko, lokcie w lokcie, prowadziłem z nimi programy.

Z Danką Holecą pracowałem, z Adamczykiem nie, ale się znaliśmy znakomicie. I jedno wiem na pewno, i to mnie uwierało chyba najmocniej w tym wszystkim, to nie są żadni konserwatyści. Doskonale ich znam, znam ich wybory życiowe, ich obyczajowe sekrety. Mogłbym zrozumieć ideowca, który uznał, że wyznaje pewien zestaw wartości i zgodnie z nimi pracuje. Ale wiem, że tak nie było.

Zmienili się?

– Nie wiem, bo długo z nimi się nie kontaktowałem. Boję się, że gdybym spotkał Michała Adamczyka, to wyciągnąłby do mnie rękę i powiedziałby – Cześć stary, jak leci?

Ogląda pan Adamczyka i Holecą w nowych rolach?

– Nie. Znam te role na pamięć.

A wydawało się, naiwnie, że po tym, jak dawali twarz telewizyjnej szczuśni, roboty w zawodzie już nie znajdują.

– Mnie to nie dziwi. Jest około miliona ludzi, którzy tak dalece łakną tego, czym ich karmiono przez te osiem lat, że muszą to gdzieś znaleźć. Więc pojawiły się stacje telewizyjne, które odpowiadają na takie zapotrzebowanie. To są widzowie, którzy odpłynęli z TVP, kiedy ta przestała zaspokajać potrzeby patrzenia na niszczenie innych. Bo tu, myślę, nie chodzi o światopogląd, o poglądy polityczne, tylko o inną potrzebę wynikającą z konstrukcji psychicznej, emocjonalną. Oni nic do naszej firmy nie mają, ale nie znajdują tu tego, czym ich karmiono i co lubią.

W tych nowych stacjach mają twarze, które lubili, głosy, które znają i treści, które budują ich rzeczywistość. Niczego im nie rujnują, nie burzą. Tam ciągle słyszą, że Tusk jest złodziejem, zdrajcą, obcym agentem, szefem partii zewnętrznej, że platformersi sprzedali Polskę.

To PiS zawsze będzie miał te 30 proc.?

– Nie, nie będzie miał. Młoda polska prawicę zasysa Konfederacja. PiS-owski elektorat będzie się wykruszał w sposób naturalny.

Jest dla mnie oczywiste, że Konfederacja palcem nie kiwnie, żeby pomóc kandydatowi PiS w wyborach prezydenckich. Na pewno nie będzie apelu po pierwszej turze „głosujcie na niego”. Przeciwnie, wtedy dopiero się zacznie bój o prawicowy elektorat.

W II turze zagłosują przeciwko Trzaskowskiemu, więc za kim, jeśli nie za Nawrockim? Albo nie pójdą do urn.

– Konfederacja palcem nie kiwnie, żeby pomóc Kaczyńskiemu i jego ludziom,

że próżność w tym zawodzie jest cechą absolutnie konstytutywną.

Ktoś, kto chce w telewizji pracować, musi być próżny. Jeżeli nie ma tego w sobie, jest pozamykany, nie chce się pokazywać, nie robi kariery na pewno. A Kamil wiedział, że ma coś, co chce pokazać światu. Był przekonany, że to jest dobrej jakości, no i to pokazywał. Ja miałem tego trochę mniej.

Jest pan mniej próżny niż Durczok?

– Bardzo tego żałuję zresztą. Bo i mniej próżny, i nie beczelny tak zawodowo. On był bardzo brawurowy. On się nie bał podejmować różnego rodzaju ryzyk i to mu się udawało i opłacało. Dlatego, że podejmował to ryzyko, ale także dlatego, że miał na to papiery. Kamil miał talent w tym znaczeniu, że ze swoich predyspozycji potrafił skorzystać. Są ludzie, którzy mają predyspozycje, ale nie mają talentu.

Zawsze byłem kroczył za Kamilem. To zawsze było jakoś tak, że stanowiłem dla niego tło. Czasem gorsze. Może na tym ta zabawa polegała właśnie, że ja byłem dla niego gorszym tłem, dlatego wybierano jego. No i tyle.

Nie mówi pan tego z żalem.

– W żadnym wypadku, to jest mój przyjaciel. To jest człowiek, którego tak będę wspominał, ponieważ ja wiem, co to znaczy. My dziś szafujemy tym słowem, a to jest bardzo ważne słowo. Mamy przyjaciół, może dwóch, może trzech

bo to są dwa różne światy. Oni się różnią z każdym dniem coraz bardziej. Także pokoleniowo. Znam ludzi, którzy wyznają ideologię Konfederacji i wielu z nich to są bardzo sympatyczni, mili i bardzo przyzwyczajeni ludzie. Oni mają po prostu wolnościowe trendy gospodarcze wdrukowane w jaźń. Te wszystkie bożonarodowo-ojczyzniane historie są im bardziej niż obojętne, wkomponowują je w światopogląd, bo muszą, ale bardziej interesuje ich to, że ktoś im nie chce „zabrać pieniędzy”, że ktoś im obiecuje wolność gospodarczą.

Jest bardzo wielu ludzi, którzy to kupują, że podatków w ogóle nie powinno być albo powinny być niskie i proste. W takim prostym rachunku wszystko się zgadza, nawet to, że przecież istnieją ci mniej zaradni, którzy mniej w życiu potrafią, są mniej przebojowi, mają mniej talentów i nie da się ich zutilizować.

Ci przyzwyczajeni wolnościowcy gospodarczy to dostrzegają, ale przecież jak nie będzie podatków, to będzie więcej pieniędzy na naturalną, obywatelską dobroczynność. Usuwają z własnego pola widzenia zmienne, uwarunkowania, komplikacje.

A panu z pola widzenia nie umyka, że „19.30” straciła wielu widzów? Teraz macie mniej niż 2 miliony. To nie jest problem?

– Jest. Bo to jest telewizja informacyjna, a jednocześnie telewizja o bardzo dużym zasięgu w sensie technicznym, więc ma do odegrania wielką rolę w czasach dezinformacji szerzącej się w rozproszonych mediach społecznościowych, tej celowej i tej wynikającej z ludzkiej natury.

Pielęgnuję nadzieję, że pod względem kontentu, przepraszam, treści to jest dobra telewizja i chodzi tylko o to, żeby przypomnieć się ludziom, odbudować widownię. I że to możliwe, mimo wszystkiego, co tu się działo od 2016 r.

Ale się reklamujecie się słowem „wiadomości”. Tu na Woronicza wiszą takie billboardy.

– „Nowe wiadomości”, a konkretnie „codziennie nowe wiadomości”.

To nie jest skompromitowane słowo?

– Dobre pytanie. Rzeczywiście zastanawialiśmy się, czy słowo „wiadomości” powinno zostać. Uznaliśmy, że jeżeli wieprzowi założy się Rolex, to Rolex nie przestaje być dobrym zegarkiem.

To w „Wiadomościach” Holecka, w 2020 r., tuż przed wyborami prezydenckimi, gościła Dudę na żywo i zadała to słynne pytanie „Co zrobić, żeby rzeczywiście to pan wygrał?”. Takie rzeczy przykleiły się na dobre do słowa „wiadomości”.

– Dużo było takich grzechów. Pamiętam wywiad Jacka Kurskiego po „Wiadomościach”. Prezes telewizji publicznej mówił otwartym tekstem, że jest dumny z tego, że telewizja mogła pomóc Andrzejowi Dudzie wygrać wybory. To jest takie horrendum, że ręce opadają. I nikt nie miał z tym problemu żadnego. Ani Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, ani Rada Mediów Publicznych, choć to ich obowiązek. Dziś nikt nie próbuje nawet posypać Iba popiołem, wręcz są z tego dumni, że byli przebojowi, że cel uświęca środki.

Jak powinni za to odpowiedzieć?

– Za robienie takich rzeczy w telewizji publicznej dostaje się bana na stałe.

Co wam się nie udało?

– Nie udało nam się wystartować z takim przyputem, z jak powinniśmy byli, ponieważ nie udało nam się wykorzystać technologii, która tu jest. Zaproponowaliśmy naszym widzom paździerz. Słabą jakościowo rzecz.

Nadawaliście nie z Placu Powstańców, siedziby redakcji informacyjnych, którą blokowali byli szefowie TVP.

– Nadawaliśmy z Wału Miedzeszyńskiego ze studia dawnej telewizji Nowa, w której też pracowałem. To nam się nie udało na pew-

no, ale czy mogło się udać? Myśmy nie spodziewali się, że infrastruktura będzie dla nas niedostępna i że będziemy musieli program robić po partyzacku. Ale przez pierwsze pięć dni biliśmy na głowę widownię TVN i „Faktów”.

4,2 miliony widzów na samym początku. Ale to efekt świeżości, ciekawości.

– Oczywiście trwało to krótko. Potem się okazało, że ludzie oczekują normalnie oprowionego dziennika, przyzwoitego w sensie wizualnym, technicznym, bo przywykli do standardu naprawdę znacznie wyższego. Więc pewne kłopoty z widownią są także konsekwencją tego zabukowania na początku, ale nie mogło być inaczej.

Spadło wam i dlatego, że TVP Info zamilkło na 9 dni i straciło blisko 70 proc. widowni. Ale nie udało się też z równowagą. Nadal to władza ma w informacji i publicystyce dużo więcej czasu.

– Nie chcę tego bronić jako szczególnie zjadłe, natomiast wiem na pewno, że kreatorem zdarzeń zawsze jest władza. To ona ma koła zamachowe.

Tak, ale wszystko, co robi władza, opozycja powinna mieć prawo skomentować.

– A nie ma? Ja mam czyste sumienie, nie boję się ani zapraszać tu polityków PiS, ani z nimi rozmawiać.

Widzę, że zaczęli już do was przychodzić.

– Być może władza ma na antenie więcej czasu po prostu dlatego, że opozycja ma jednak ciągle focha. Coraz mniejszego, ale na-

się kryje w jego życiorysie i mogą się ujawnić miny, których nie będą w stanie rozbroić.

Już to, co wiadomo, a co Kaczyński zbagatelizował – relacja z Wielkim Bu, byłym członkiem gangu sutenerów i kontakty ze skinheadami oraz półświatkiem faszystowsko-gangsterskim – powinno go zdyskwalifikować.

– To jeszcze są w stanie rozmyć albo wręcz rozegrać na swoją korzyść, bo takie emploi może imponować niektórym sympatykom Konfederacji. Ale to jednocześnie to sygnał, że szlam może być głębszy i mogą wyjść w czasie kampanii nowe rzeczy.

Ma pan bardzo złe zdanie o politykach, o czym pan opowiadał w swoich nagraniach „Czyż tak”.

– To był inny czas, czas, kiedy rządził PiS...

„Polityka oparta jest na kłamstwie”...

– Bo to prawda.

„Politycy naruszają zasady”...

– Tego się będę trzymał do końca życia. Co nie znaczy, że mam pretensje o to, że niektórzy politycy kłamią. Oburzam się, jak każdy, ale bywa, że oni inaczej nie mogą. Polityka oparta tylko na prawdzie nie ma sensu, zbytnia szczerłość może zaszkodzić również dobrym rzeczom, które chce się dziać.

„Oglądamy lajdactwo”.

– Polityka jest sztuką uwodzenia elektoratów.

Kłamstwem?

Na pewno nie przyjdzie do nas pan Andrzej Duda, nigdy, co potrafię zrozumieć. OK, nie mamy z tym żadnego problemu. Choć będzie to jedyny prezydent Polski, z którym nigdy nie rozmawiałem

dal po roku prawie słyszę od polityków prawicy, że jestem uzurpatorem, że to nielegalna telewizja. W moim programie „Bez retuszu” w zasadzie zawsze są politycy PiS. Jak ich nie ma, mamy dla nich puste krzesło. Mogą zawsze przyjść. Są tacy, którzy przychodzą i będą przychodzili, są tacy, którzy nigdy tego nie zrobią, bo są tak dalece obrażeni na tę firmę.

Na pewno nigdy nie przyjdzie do nas pan Morawiecki. Na pewno nie przyjdzie do nas pan Andrzej Duda, co potrafię zrozumieć, bo musiałby pewnie legitymizować działania własne sprzed roku, które poddawały w mocną wątpliwość legalność tego, co tu się dzieje. OK, nie mamy z tym żadnego problemu. Choć będzie to jedyny prezydent Polski, z którym nigdy nie rozmawiałem.

Poza tym to jest schyłek kadencji, więc nie wartościowego chyba byśmy już nie wydobyli. Tam już się żadna decyzja nie urodzi.

Teraz wszyscy wytykają Dudzie, że zapomniał albo udawał, że zapomniał, jak się nazywa kandydat PiS na prezydenta.

– Prezydent pielęgnuje w sobie zadrę, bo go nie zapytano o zdanie. Myślę, że nie wesprze żadnego z kandydatów Prawa i Sprawiedliwości, którykolwiek się jeszcze pojawi, bo ja-koś nie wierzę w pana Nawrockiego na finiszu tej kampanii.

Nawet w drugiej turze?

– Nie wierzę, że Nawrocki wejdzie do pierwszej tury. Zostanie podmieniony, i to dość szybko.

Potencjał szlamu, który się za tym człowiekiem ciągnie, jest trudny w tej chwili do oszacowania i myślę, że na Nowogrodzkiej to wiedzą. Wiedzą, że nie panują nad tym, co

– Oczywiście. No przecież elektorat PiS jest uwiedziony, zakochany i wyznaje wiarę w Jarosława Kaczyńskiego.

Prof. Radosław Markowski mówi o socjalizacji wyborców albo raczej wyznawców.

– Wyhodowaniu raczej.

Obie strony tak prowadzą politykę?

– Wszyscy tak prowadzą politykę, żeby uwieść. I żeby wystrychnąć na dudka przeciwnika. Gdyby politycy wychodzili na mównicę i mówili prawdę o swoich zamiarach, to żaden by się im nie powiódł. Więc oni muszą nie mówić całej prawdy. Tylko powiadam, ja nie robię z tego zarzutu, to jest element tego zawodu.

Kłamstwo może być ekskrementem w pięknym papierku. Natomiast jeśli wyjmuje się je z papierka, komuś podaje na dłoń i mówi: „To jest pyszne, żryj” – to już jest lajdactwo. A to nam robiono przez kilka lat. Karmiono nas w taki właśnie sposób, i to beczelnie, manifestacyjnie. Występ pana Kurskiego w TVP, o którym wspominałem, to jest właśnie rozwinięty z celofanu ekskrement, który nam się podaje na pięknym talerzu. Oni robili takie rzeczy nie dlatego, że musieli, tylko że mogli. Oni sobie zbudowali państwo, w którym nie musieli się już udawać, że to jest szare, a nie czarne.

Trochę pan gra do własnej bramki. Bo ktoś powie: aha, czyli to jednak prawda, ta ludowa intuicja, że „oni” wszyscy są tacy sami. A to jest właśnie ta postawa, na którą liczą Mentzen z Bosakiem, prezentujący się jako ludzie nowi, nieumoczeni.

– To, że wszyscy kłamią, nie znaczy, że są tacy sami. Prawica lubi proste rozwiązania,

dramatyczne zdarzenia, niecenzuralne słowa i widowiskowe historie. Natomiast liberalowie i lewica to są zawsze trochę bardziej wycofani ludzie. Grający w tę grę, ale zwykle zatrzymujący się krok wcześniej.

Wielu komentatorów uważa, że przestali się zatrzymywać. Że już nie taki nowy rząd przejął nie tylko tematy, ale też język prawicy. W zbożnym celu, żeby odebrać tlen radykałom, ale jednak. Więc jeśli i tematy, i słowa są te same, to czy jest różnica jakościowa między władzą a opozycją?

– Oczywiście, że jest. Ma więcej granic, których nie przekroczy. Może ze strachu, może wiedząc, że nie ma w sobie tyle beczelności, żeby to robić. To inny format psychiczny. Nasz naród nie zasługuje na to, żeby być traktowanym obskurancko, żeby nam pokazywać, że jesteśmy holotą, z którą wszystko wolno zrobić. To, że część z nas dała im mandat do rządzenia, wykorzystali to i obstawili swoją władzę bezpiecznikami, których nie da się wywalić w powietrze, nie znaczy, że im wolno.

Pan bardzo przeżywa.

– Bo to trwało tyle lat. To było tak beczelne. To było tak niemożliwe do obejścia. Było widać gołym okiem, że żaden protest na nikim nie robi wrażenia, więc czasem jest tak, że człowiekowi pozostaje tylko coś wyrzucić z siebie i mieć nadzieję, że do kogoś dotarło. I tak, wiem, że to się skończyło. Ale może wrócić. Wystarczy spojrzeć na sondaże.

Czasem rzeczywiście mam poziom emocji. „Czyż tak” to takie moje kazania. Ale też proszę pamiętać, ich się nie pisze, tylko się

siada za kierownicą i się mówi.

Pan lubi nagrywać w drodze.

– Auto to dobre miejsce, jest intymnie, cicho, tu się łatwiej myśli, łatwiej mówić, nic nie przeszkadza. Wystarczy wjechać na A4 i po prostu jechać. I od razu wyjaśniam: to jest bezpieczne.

Uznałem, że skoro właściwie jestem stale w drodze między Katowicami a Warszawą, przejechałem już na Księżyc i z powrotem, to szkoda tego czasu. Można w tym czasie coś przemyśleć, wymyślić, a potem zakomunikować. To fajny format, prosty, bezkosztowy. Samochód jest studiem, telefon ma całym przyzwoitą kamerę, więc czemu nie? W ogóle przekaz stał się tak tani i prosty...

Czy my jeszcze jesteśmy takimi dziennikarzami, jak kiedyś, jak w XX wieku?

– Oj, to na pewno nie. Na przykład my prowadzący duży dziennik, jesteśmy wymierającym zawodem. Nas najszybciej zastąpi sztuczna inteligencja, bo wykreuje się przystojnego faceta albo przepiękną kobietę, która będzie dobrze ustawionym głosem odczytywała dialog, który napisze reporter. Więc my jesteśmy nikim. A na pewno jesteśmy kimś, kto będzie na dłuższą metę komukolwiek potrzebny.

Dziennikarzami w dawnym stylu, takimi „panie redaktorze”, jeszcze jesteśmy, bo telewizja jeszcze działa, to medium, które ludzie lubią mieć w domu, bo jest kolorowe i się rusza. I przy tych wieczornych mszach ktoś jeszcze zasiada. Ale już nie 8 milionów.

Kiedy zaczynałem pracę w Telewizji Polskiej, prowadziłem program „Gość Jedynki”, mieliśmy od 8 do 12 milionów ludzi przed telewizorem. Swoje zrobił prosty format,

10 minut wywiadu, i pora, genialnie posadowiona między „Teleexpressem” a telenowelą. Niemniej dziś 8 milionów może zebrać jakiś serial, ale musi się bardzo postarać.

Oczywiście zawsze będą ludzie chcący oglądać te wieczorne msze.

Msze?

– No wiadomo, „19.30”, „Fakty”, „Wydarzenia”. Te programy gromadzą wiernych. Bo trzeba być wiernym, żeby to wciąż oglądać. Przecież my, siadając wieczorem przed tymi dziennikami, nie czekamy na żadne newsy. Wszyscy doskonale już wiemy, co się wydarzyło, z portali, z cyfrowych gazet, z radia, z iksa czy Bluesky. To, na co czekamy, to jest obejrzenie tej wiedzy ubranej w jakąś narrację, zaprezentowaną przez konkretnego człowieka z twarzą, zebraną w jakąś jedną pigułkę, w której będziemy mieli głos opozycji, głos koalicji, głos ekspertów.

Dlatego dzienniki nadal są analizowane i dlatego politycy i ludzie ze sfery publicznej chcą wystąpić w telewizji. Ba! Wielcy youtuberzy, postaci znane z sieci, ikony internetu mające milionowe zasięgi, kiedy są zapraszane do telewizji, skwapliwie przyjmują zaproszenie. Oni słysząc zaproszenie do „Pytania na śniadanie” w TVP2, biegną na skrzydłach, mimo tego, że mają swoją publiczność w sieci, znacznie bogatszą niż ta w telewizji. Widać jest w telewizji jakaś magia, która powoduje, że to jest miejsce nobilitujące. Jeszcze jakiś czas na tym pojedziemy.

A w drugą stronę? Większość dziennikarzy, prezenterów, gospodarzy talk show jest na X, Instagramie, coraz częściej na TikToku. Tylko z X zaczął się trend ucieczkowy. Pan jeszcze tam jest?

– Nigdy nie byłem na X. I nie będę. Nie taplam się w ściekach. To jest platforma, na której wszyscy mogą wyszisko. Mogą się obrażać, mogą się wyzywać.

Jestem mocno analogowy, więc jestem na Facebooku, ale bardziej towarzysko niż zawodowo. I na Instagramie, bo córka mi każała, ale nie jako szczególnie aktywny. Jestem Matuzalemem w tej robocie, jak powiadam, już mnie nic nadzwyczajnego nie czeka. Natomiast jeszcze mam tyle przytomności żeby dostrzegać zmiany, które zachodzą.

Rozumie pan fenomen Twittera? Bo X to masa upadłościowa, prawdziwą potęgę i symbol nowych mediów stanowił, kiedy był Twitterem

– Rozumiem i wiem, że kiedy zmienił się w X, został jeszcze podpompowany osobowością człowieka, który go przejął – mocno pokretną, bardzo dziwną. Nie wykluczam, że osobowością przyszłości. Ale nieakceptowalną przeze mnie, przez moje pokolenie.

Powodem tej ucieczki jest dezinformacja w niespotykanej skali. Tylko w pierwszych trzech tygodniach października, czyli na finiszu prezydenckiej kampanii wyborczej, Elon Musk opublikował 28 fałszywych wiadomości na swoim koncie, obejrzano je 540 miliony razy. W Stanach uprawnionych do głosowania jest około 240 milionów. A wszystkie te wiadomości służyły Trumpowi.

– Czyli wszyscy usłyszeli to dwa razy. Politycy dostali narzędzia, które są nieokiełznwalne. Nikt nad tym nie panuje, co gorsza, nie umiemy przewidzieć, w jakim kierunku to się rozwinie. A ta inteligencja sztuczna, która mnie zastąpi, to nie jest jakaś mrzonka, to nie jest wymysł. To się stanie.

To mnie nie martwi w sensie osobistym, bo swoje przeżyłem, coś osiągnąłem, chyba dożyję, nie musząc martwić się o byt. Martwią mnie społeczne i polityczne konsekwencje. Ludzie, którzy dostają takie narzędzia do ręki, nie zrezygnują z nich nigdy.

Na razie jest pan potrzebny, i to chyba bardzo. Bo ciągle jest pan w trasie, Warszawa-Katowice-Warszawa. To dom gdzie?

– Właściwie mieszkam w kilku miejscach. Na warszawskich Wyczółkach na stałe,

w Siemianowicach Śląskich w moim mieszkaniu, do którego wpadam czasem, żeby podlać kwiaty i sprawdzić, czy nikogo nie zalało. I mieszkam w moim domu na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, ale bardzo, bardzo rzadko. A jeszcze pomieszkuję w domu rodzinnym w Beskidach, u mamy i siostry. Tak że drugi zawód – konduktor.

Ale bardzo to lubię, nie wyobrażam sobie innego trybu życia. Nie byłbym w stanie zainstalować się w Warszawę na stałe, to jest bardzo mało lojalne miasto, więc nie ma sensu. Pracuję tu prawie 30 lat, ale zawsze mieszkając w hotelach albo wynajętych mieszkaniach. Nigdy tu nie wsiąknąłem, chociaż moi koledzy i koleżanki tak.

Na Śląsku jest pan u siebie?

– Nie, właściwie to jestem przyszyty do Śląska. Jestem góral beskidzki, tam jest moje miejsce na ziemi. Wyjechałem z Beskidów w wieku dwudziestu lat na studia, mówiąc, że na krótko, ale zostałem w Katowicach, czyli na Śląsku. U siebie to jestem w Goleszowie, pod Ustroniem, na zboczach Czantorii.

Tam pana rozpoznają?

– Tam mnie znają, bo ja jestem stamtąd, swójak, synek z Goleszowa. Natomiast z tym rozpoznawaniem to generalnie już nie są te czasy kompletnie.

Opowiadał pan, że po grudniu zeszłego roku ktoś złożył dłoń w pistolet i mierzył do pana.

– Mam na myśli ten wymiar celebrycki, że kiedyś szedł szept „o, to chyba Durczok, Lis, Olejnik, Gawryluk” i ludzie się odwracali. Tego już nie ma. Natomiast reakcje jak ta sprzed roku zdarzają się codziennie właściwie, ale tu nie chodzi o sławę, tylko o widzów głęboko bardzo zaangażowanych emocjonalnie w politykę.

Aby nie pomyślała pani, że popadam w martyrologię, nie chodzi, mam nadzieję, o to, że ktoś mnie chce zastrzelić, tylko mi pogrozić czy dać upust frustracji. Ktoś czasem krzyknie za mną „precz z komuną!”.

A panem nie targają emocje, kiedy pan pomyśli, że jesteście na łasce rządu z jego kropiówką, bo nie macie abonamentu, a nie macie przez obstrukcję prezydenta Dudy i Macieja Świrskiego z KRRiT?

– Nie mamy i tak będzie do ustawy medialnej.

Co to znaczy dla was?

– Mam nadzieję, że wiem, co to nie znaczy – że nigdy nikomu nie przyjdzie do głowy, że skoro tę firmę finansuje, to może od niej wszystkiego wymagać.

Tak właśnie zachowują się politycy.

– Ci akurat nie. Nie odbieramy nacisków, a jesteśmy tu już rok, więc tuszę, że to się nie wydarzy. Mamy już kampanię wyborczą za sobą. TVP formalnoprawnie była własnością tej ekipy. A jednak nie wykorzystywano jej tak, jak można było. Umieli się powstrzymać.

Ale to były wybory samorządowe i europejskie. A teraz będą te najważniejsze.

– Będą, to są wybory o wszystko. I wszyscy to wiedzą, dlatego rzeczywiście stawka jest tak wysoka, że różne maniery mogą się ujawnić.

Ale mam nadzieję, że nawet jeśli pojawi się pokusa, to za nią pójdzie zrozumienie, że to mogłoby okazać się kontrproduktywne. Bo takie zabiegi widać. Ludzie wyczuwają, kiedy coś na ekranie jest nieszczerze, hucpiarskie, uzurpatorskie. Jakies ingerencje, zamiatanie czegoś pod dywan czy malowanie trawy na zielony by tej władzy nie posłużyło, i ona to chyba wie.

I wie, że to naprawdę już nie jest jedyny kanał dotarcia do ludzi. I jeszcze, że jeżeli cokolwiek próbuje się ukryć, zachachnąć w TVP, to zaraz wszyscy się o tym dowiedzą i opowiedzą. Jeśli różne brzydkie rzeczy wyciekały mimo zamordyzmu w firmie po 2016 r., to co dopiero teraz.

Tak duże medium nie może czegoś ukrywać, bo się ośmieszy. Więc żaden wydawca

nie pójdzie na układy, nie da się sterować telefonem z góry.

Pan odpowiada za wydanie, które pan prowadzi?

– Tak. I dlatego wiem, że nikt mi tutaj dziecka w brzuch nie wciska. To mi się nie zdarzyło nigdy. Prowadzę program i piszę zapowiedzi do materiałów.

No i daje pan temu głębę.

– I nie dam głęby do czegoś, co mi się nie podobą. Naprawdę mam już dużo lat i nic nie muszę w tej firmie. Bardzo chcę, to prawda, ale nic już nie muszę. Na całe szczęście nikt mnie nie postawił przed taką sytuacją, że muszę coś zrobić wbrew sobie. To jest sedno zmiany w tej firmie, bo wcześniej tu ludzi zmuszano. Wiem na pewno.

Jak zmuszano?

– Szefowie mówili im, co mają zrobić, jaki materiał wyemitować, jakie akcenty, gdzie przyłożyć i jaki pasek napisać. A oni byli posłuszni.

Bo chcieli. Takiego dokonali wyboru.

– Myślę, że nie chcieli, ale zważyli koszty i korzyści. Nie chcieli przekazywać takich treści, ale chcieli zarobić na życie. Bali się konsekwencji niewykonania polecenia. Tam była cała masa ludzi, którzy nie wyobrażali sobie siebie na rynku. Wiedzieli, że jeżeli ktoś im pokaże drzwi, to oni nie znajdą sobie miejsca w internecie, nie założą portalu, nie będą prowadzili szkoleń medialnych, bo nie mają na to papierów ani kompetencji.

Mnie bardzo zdziwiło, że nie było u was informacji, że minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz postawił publiczne spółki medialne, w tym TVP, w stan likwidacji. Ktoś zablokował?

– Trudno mi uwierzyć w jakieś zakulisowe działania. Kto by miał na tym skorzystać?

Bardzo bym chciał, żeby pamiętano o jednej rzeczy, jeżeli się inkryminuje jakieś machinacje związane z kształtem programu w grudniu czy styczniu przed rokiem. Wówczas był bardzo młody zespół zebrany z najrozmaitszych redakcji. Ludzie pełni zapału, z pomysłami, ale niezgrani, bo jak mieli być zgrani?, którzy nie bardzo wiedzieli, jak się obsługuje system edycyjny w tych komputerach.

Pracują jeszcze ci starzy, z telewizji Kurskiego, Matyszkowicza?

– Cała masa. Nie da się wymienić całego zespołu w firmie, która zatrudnia kilka tysięcy osób. To są ludzie, którzy wykonywali czynności, które po prostu musiały być wykonywane, żeby ta firma działała. Oni nie mieli w tym żadnego ideologicznego powodu.

Nie ma między wami żadnego napięcia?

– Dlaczego miałoby być, jeśli w większości to ludzie, którzy robili programy, bo ktoś musiał. A po drugie, nawet jeśli jakieś jest, to za rzadko tu bywam, żeby coś odczuć.

Poza tym redakcja „19.30” jest dość endemiczna. Mamy umiarkowane związki z TVP Info, które jest molochem. No a w naszej wielkiej społeczności specjalnych napięć nie ma. Może pojawiają się z czasem, niekoniecznie polityczne, ale takie naturalne, na niewie powodowej, różnic pomysłów, wrażliwości, perspektyw. Ale patrzę na to okiem już jednak starszego pana, to są ludzie w wieku moich dzieci i zdaję sobie sprawę, że oni mają inne priorytety życiowe.

Dla nich telewizja nie jest narkotycznym miejscem, które uzależnia i nie pozwala poszukać sobie innego środowiska i towarzystwa. Oni spotykają się na mieście z innymi ludźmi niż ci, z którymi pracują w jednej firmie. W moim pokoleniu było inaczej. Myśmy nie mieli innych znajomych. Poza firmą mówiliśmy tylko o firmie, tylko o zawodzie, tylko o pracy. Oni przychodzą do roboty, a po robocie idą z całkiem innym towarzystwem w całkiem inne miejsca, więc nie zabierają tego napięcia do domu, tam go nie pielęgnują i nie wracają z nim do pracy. Wracają do pracy ze świeżą głową.

Pan kocha swój zawód.

– Tak. Nie mam innego.

Słyszałam, że pan często opowiada dowcipy, rozbiesza ludzi, np. cytatami z „Vabanku” Juliusza Machulskiego...

– Z różnych filmów. Uwielbiam kino, to moja wielka pasja. Zawsze chciałem się znać na kinie. Nie było czasu, żeby tego się nauczyć wszystkiego, zresztą ktoś mi kiedyś wytłumaczył, że to kompletnie bezużyteczna wiedza. Gdzie i komu chcesz zaimponować tym, że wiesz, kiedy powstał jakiś film i kto jest jego reżyserem? Tak jakby w życiu chodziło o imponowanie komuś, i tylko o to.

Ale tak, bardzo lubię kino i trochę tych cytatów znam. Moi koledzy też, więc czasem robi się z tego gielda, kto zna więcej i który bardziej pasuje do okoliczności.

A ostatni film?

– Nie chodzę do kina, niestety. Nie mam czasu. Bardzo żałuję.

Netflix i kanapa?

– Raczej tak. „Napad” w reżyserii Michała Gazdy, to ostatnio widziałem. Dzieło sztuki, ale tylko dlatego, że gra tam Olaf Lubaszenko, który chyba odkrywa nową kartę w swoim życiu zawodowym. Lubaszenko trochę zapomniany, trochę pominięty, trochę z kłopotami osobistymi, nagle pokazuje, czym jest aktorski warsztat, kim jest aktor. Całe młode pokolenie powinno się od niego uczyć, jaki można mieć dystans do siebie, do swojej fizyczności, do swojego emploi. Naprawdę powinni młodzi aktorzy oglądać tych ludzi i chcieć pracować z nimi.

Nie tęskni pan do sali kinowej?

– Nie. Może dlatego, że to już nie jest sala kinowa, ale przemysł. Najpierw muszę zjeść półtorej tony popcornu i zalać to pięcioma litrami coca-coli, żeby tam wejść. Jestem atakowany przez jakieś żelowe cukierki, przez pół godziny muszę oglądać reklamy, to nie jest już żadna świątynia kina, to jest najczystsza komercja, chociaż tam się wyświetla wartościowe dzieła.

Czyta pan książki papierowe czy e-booki?

– Tylko papierowe. Do e-booków jestem za mało cyfrowy. Nie chodzi o magię przewracania kartek, jak niektórzy uważają, czy o zapach tych książek. Nie, to po prostu nawyk.

I znowu po raz 558 sięgam po „Ogniem mieczem”, moja żona kiwa tylko głową z politowaniem. I czytam Szwejka, odrabiam zaległości, bo najpierw muszę porcję klasyki nadgonić lub odświeżyć, a potem się zabiorę do nowości.

Ostatnia książka to?

– Właśnie „Przygody dobrego wojaka Szwejka”. Wracam do Haszka regularnie, bo to jest głęboko filozoficzna książka.

A potem pan szpanuje cytatami.

– Ze Szwejka? Nie, bo nikt Szwejka nie zna, tu nie ma komu szpanować.

Jestem czechofilem, to może stąd się to bierze. Z wszystkich języków obcych, w których się porozumiewam, czeski znam najlepiej. Lubię tę kulturę po prostu, dlatego lubię Szwejka. Chociaż Haszek był kanalią, to jednak Szwejka napisał genialnie.

Kanalią, bo?

– Kanalia to może za mocne słowo, ale komunista, politruk, nawet oskarżany o bigamię. Kiepskie referencje.

Serio mówi pan po czesku?

Tu Czyż mówi po czesku: „samožřejmé”, czyli „oczywiście”.

Mieszkalem na polsko-czeskiej granicy i przez całą młodość oglądałem czeską telewizję, była ciekawsza niż nasza.

Chciałabym usłyszeć, jak pan po czesku prowadzi „19.30”.

– Na 1 kwietnia się możemy umówić. Ale nie wiem, co moi szefowie na to, więc nie obiecuję. ●

W 2024 r. nie brakowało poważnych spraw: za naszą granicą nadal toczyła się wojna, wybory w USA wygrał Donald Trump, odwiedziła nas powódź, nie wygasł kryzys na granicy polsko-białoruskiej i nie spełniono obietnic w sprawie aborcji. Ale pomiędzy nimi pojawiały się sprawy wagi lekkiej, o których łatwo zapomnieć, a przecież mówią nam tak wiele o współczesnym świecie. Co zostanie nam z mijającego roku?

Emilia Dłużewska

TEMATÓW WAGI LEKKIEJ

1. Swifties

Na początku sierpnia amerykańska piosenkarka Taylor Swift zagrała w Warszawie trzy koncerty w ramach międzykontynentalnej trasy „The Eras Tour”. Lodówkę strach było otworzyć już w połowie lipca.

Taylor uśmiechała się słodko do Polaków z okładek magazynów lifestyle'owych, tygodników opinii, dzienników i wszelkiej innej prasy, nie wyłączając naszego magazynu „Książki”. Łypała z ekranów telewizorów, komórek i billboardów. Eksperci wyliczali, ile pieniędzy może wpompować w polską gospodarkę (wiele), warszawiacy – ile czynszów mogą pokryć, podnajmując na trzy wieczory swoje mieszkania (wiele), jej fanki, zwane swifties – ile bransoletek przyjaźni zdążą upleść (jeszcze więcej).

Wraz ze zbliżającym się koncertem w mediach tradycyjnych i portalach społecznościowych zaczęła narastać fala świadectw ludzi-których-nie-obchodzi-Taylor-Swift. Przyjmowały różne formy: od utyskiwań na miałość popkultury, przez protekcjonalne uwagi na temat fanek piosenkarki, po domaganie się od mediów zajęcia się poważniejszymi tematami. Szybko nadeszły kontrświadectwa ludzi-którzy-słuchają-Taylor-Swift, opiewane o opiniach, utyskiwania na utyskujących.

Nigdy w dziejach świata tak wielu nie czuło potrzeby, by poinformować opinię publiczną o tym, że coś ich nie interesuje. Trudno nie dostrzec w tym ironii. Podobnie jak w głosach ludzi, którzy patrzyli na nastoletnie fanki piosenkarki z wyższością, jednocześnie eksponując własne muzyczne gusta z powagą godną licealisty, który właśnie nauczył się grać na gitarze „Stairway to Heaven”.

A Taylor? Cóż, przyjechała, zagrała trzy koncerty i wyjechała – zostawiając szczęśliwe swifties, powidok świecących bransoletek i cekinów, od których mieniła się Warszawa w pierwszych dniach sierpnia, oraz okazały ślad węglowy. Choć pewnie niewiele większy niż grająca niecały miesiąc wcześniej Metallica. ●

2. Męskość

„Dziś nie ma mężczyzny. Jeden się skończył, a drugi jeszcze nie zaczął” – tę uwagę pisarki Marii Kuncewiczowej cytowała na naszych łamach Katarzyna Brejwo w rozmowie z Wojciechem Śmieją, autorem książki „Po męstwie”. A ten odpowiadał teżą filozofa Bogusława Trentowskiego: Polak to był Starzec, który zmarł podczas rozbiorów, potem podczas romantycznych powstań narodził się Młodzieniec, a prawdziwego Męża jak nie ma, tak nie ma.

Cytat z Kuncewiczowej pochodzi z lat 30. XX wieku. Teza Trentowskiego jest o 90 lat starsza. Dziś, w trzeciej dekadzie wieku XXI, są uderzająco aktualne. Może dlatego, że nasza definicja kobiecości i męskości – związanych z nimi cech, społecznych ról i oczekiwań, specyficznych problemów i sposobów ich rozwiązywania – zmienia się cały czas.

O ile kobiety przyglądają się krytycznie swojej tożsamości przynajmniej od czasów sufrażystek, o tyle męskość wciąż jest nieoczywista, traktowana jako coś niewartego refleksji („chłop, jaki jest, każdy widzi”) albo kwitowana rytualnymi hasłami

o „kryzysie męskości”.

A jeśli nie kryzys, to co? Czym może być męskość dziś, w świecie błyskawicznych przemian, nowych technologii, różnorodnych tożsamości? W „Wyborczej” przyglądaliśmy się jej z różnych perspektyw: przytaczając statystyki; opowiadając o ojcostwie, przyjaźni, zdrowiu, emocjach; opisując sytuacje, w których – jak zauważał Kasper Kalinowski – męskość okazuje się najbardziej toksyczna dla nich samych. Nie unikając jej mrocznych stron i nie dając się wciągnąć w „igrzyska krzywdy”. ●



Zmiany przed ratuszem

Pl. Bankowy bardziej zielony

Drogowcy zazieleniają plac Bankowy i wygospodarowali 5 mln zł na dalsze zmiany.

Jarosław Osowski

Plac Bankowy tonął w zieleni, gdy miał trójkątny kształt i nie był tak ważnym węzłem komunikacyjnym jak po II wojnie światowej. Wtedy rozebrano budynki, które tworzyły jego wschodnią pierzeję. Przebito też ul. Marszałkowską przez Ogród Saski, a ul. Nowotki (dziś Andersa) przez gruzy getta w kierunku Żoliborza. Pośrodku placu stanął pomnik jego nowego patrona – Feliksa Dzierżyńskiego.

Rewolucje na byłym placu rewolucjonisty

35 lat temu posąg strącono z cokołu. Potem w jego miejscu odsłonięto monument poety Juliusza Słowackiego. A plac wrócił do dawnej nazwy.

W ostatnich latach trwają tu kolejne zmiany. Nie są one jednak aż tak rewolucyjne, jak wynikałoby to ze zorganizowanych przez ratusz w 2023 r. warsztatów charrette, czyli burzy mózgów z udziałem ekspertów, urzędników i mieszkańców. Wśród rekomendacji znalazło się m.in. przesunięcie torów tramwajowych bliżej bloku po wschodniej stronie placu, zwężenie jezdni, posadzenie wzdłuż



• Przystanki na pl. Bankowym. Ten z prawej ma być zlikwidowany, żeby zrobić więcej miejsca zieleni

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

niektórych szpalerów drzew, zmniejszenie liczby przystanków autobusowych o połowę i ich przesunięcie na narożniki z al. „Solidarności” i z Senatorską. Zaplanowano też zamknięcie przejazdu ul. Elektoralnej i likwidację parkingu, by w jego miejscu urządzić skwer z fontanną.

Parking przetrwał, ale jest nieco mniejszy. W jego sąsiedztwie Zarząd Dróg Miejskich zamontował w 2021 r. sygnalizację świetlną na niebezpiecznym przejściu do ul. Senatorskiej. A w 2023 r. wytyczył drogę rowerową na przedłu-

żeniu szlaku dla cyklistów przez ul. Marszałkowską. Wzdłuż ratusza i urzędu wojewódzkiego posadzono też 20 drzew. Udało się rozplątować nieużywaną część chodnika między jezdnią a torami tramwajowymi. Teraz rośnie tam dziesięć dębów kolumnowych i byliny. Kolejnych dziewięć drzew z krzewami przybyło bliżej ul. Elektoralnej.

Drzewa także pośrodku placu Bankowego

Latem tego roku miejski Zakład Remontów i Konserwacji Dróg

wyciął zaś z asfaltu pośrodku placu kolejny teren o długości 150 m pod zieleni. Miesiąc temu posadzono tam osiem platanów, a pod nimi byliny oraz cebulki narcyzów i tulipanów. – Mamy 5 mln zł na dalsze zazielenianie pl. Bankowego w 2025 r. – ogłosił dyrektor ZDM Łukasz Puchalski. Dodał, że drzew przybędzie tym razem blisko bramy prowadzącej na dziedziniec ratusza.

Ich posadzenie umożliwi likwidację jednego z dwóch przystanków autobusowych.

Plac Bankowy coraz mniej autobusowy

Chodzi o linię ekspresową E-2 (pl. Bankowy – Wilanów), która kursuje tylko w porannym szczycie, a od 22 grudnia do 6 stycznia jest całkowicie zawieszona. Na przystanku obok zatrzymują się już tylko trzy autobusy: 107 (co kwadrans), 111 (co 10-15 min) i 171 (co 30 min, ale w weekendy tylko w godz. 9-18.30).

Ta ostatnia linia miała być zlikwidowana w 2022 r., bo dubluje metro po otwarciu stacji Bemowo, ale opór stawiały władze tej dzielnicy i ZTM zostawił ją w szczątkowej formie między Chomiczówką a Torwarem. Na pl. Bankowy skręca z al. „Solidarności”.

Przez wiele lat było to jedno z najbardziej obciążonych miejsc w komunikacji miejskiej. Zdarzało się, że autobusy czekały w kolejce, by wjechać na każdy z przystanków przed urzędem miasta. Tutaj zatrzymywała się większość linii pospiesznych.

To zaczęło się zmieniać w latach 90. i po 2000 r., gdy ZTM najpierw zlikwidował linie pospieszne, a potem na pl. Bankowy dotarło metro. W ostatnich tygodniach urzędnicy ewakuowali stąd i z północnego odcinka ul. Marszałkowskiej ostatnią przyspieszoną „pięćsetkę” – linią 520 ma teraz trasę skróconą do Dworca Centralnego. ●

Sprawa zburzonej kamienicy na Woli

Prokurator: sąd może nakazać jej odtworzenie

Trwa prokuratorskie śledztwo w sprawie nielegalnej rozbiórki XIX-wiecznej kamienicy Abrama Włodawera przy ul. Łuckiej 8, najstarszej zachowanej czynszówki na warszawskiej Woli. Zapewne powołany zostanie biegły, który określi straty wynikające ze zburzenia prawie 150-letniego domu.

Do rozbiórki zabytkowej kamienicy bez żadnych zgód doszło tuż przed Bożym Narodzeniem. Interweniowali przybyli na miejsce konserwatorzy zabytków – wojewódzki Marcin Dawidowicz i stołeczny Michał Krasucki oraz burmistrz Woli Krzysztof Strzałkowski. Z pomocą policji zatrzymano prace. Po południu dotarł tam także przedstawiciel Powiatowego Inspektoratu Nadzoru Budowlanego. Sporządził pro-

tokół i poinformował operatora koparki o całkowitym zakazie prowadzenia dalszej rozbiórki.

Mimo to, w poniedziałek, 23 grudnia, rano roboty zostały wznowione. Koparka obróciła kamienicę w górę gruzu. Została tylko jedna ściana szczytowa, ale i ta wkrótce przestała istnieć.

Wojewódzki i stołeczny konserwator zabytków zawiadomili policję i prokuraturę o popełnieniu przestępstwa. Śledztwo w tej sprawie już 23 grudnia wszczęła Prokuratura Rejonowa Warszawa-Wola. Dotyczy ono czynu określonego w art. 108 ust. 1 Ustawy o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami: „Kto niszczy lub uszkadza zabytek, podlega karze pozbawienia wolności od sześciu miesięcy do lat ośmiu”.

– W tego typu sprawach bazujemy na dokumentach. Ustalamy

jaki był status tego obiektu: czy rzeczywiście był zabytkiem i czy zachodziły pod tym względem jakieś zmiany, a w drugiej kolejności – kto jest odpowiedzialny za cały proces inwestorski: kto zarządził rozbiórkę, jaka firma jej dokonała, kto był przy tym zatrudniony itd. Bierzymy pod uwagę konieczność zgromadzenia dodatkowych dowodów, przesłuchania kolejnych świadków i powołania biegłego, który wyceni szkodę – mówi prokurator Piotr Skiba, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Warszawie.

Prokurator Piotr Skiba przypomina, że Ustawa o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami zawiera także przepisy, które nakazują przywrócenie zabytku do poprzedniego stanu i wypłatę nawiazki odpowiadającej wartości zniszczonego mie-

nia na Narodowy Fundusz Ochrony Zabytków.

– Sąd może zobowiązać do tego oskarżonego – mówi rzecznik Prokuratury Okręgowej w Warszawie.

Piętrowa kamienica Abrama Włodawera przy ul. Łuckiej 8 powstała w z 1878 r. W 1992 r. budynek został wpisany do rejestru zabytków. W 2012 r. nieruchomość odzyskali spadkobiercy dawnych właścicieli i po czterech latach sprzedali ją obecnemu właścicielowi – spółce JM Invest.

W międzyczasie kamienica Włodawera popadła w ruinę. Opuuszczona, nieremontowana, niezabezpieczona, wielokrotnie podpalana przez nieznanych sprawców straciła dach i stropy. Spółka JM Invest po latach starań doprowadziła niedawno do pozabawienia budynku ścisłej ochrony prawnej, która wyklucza rozbiór-

kę. W październiku 2024 r. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego usunęło go rejestru zabytków. Jednakże niespełna miesiąc później wojewódzki konserwator zabytków wszczął procedurę wpisu do rejestru pozostałości kamienicy. Od tego momentu obowiązywał zakaz prowadzenia prac mogących naruszyć substancję obiektu lub zmienić jego wygląd.

Niezależnie od tego, kamienica wciąż ujęta była w gminnej ewidencji zabytków, a jej ochrona zapisana została w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego. Na rozbiórkę takich obiektów potrzebne są zgody konserwatora i urzędu dzielnicy, ewentualnie nakaz Powiatowego Inspektoratu Nadzoru Budowlanego. Spółka nie miała tych zgód, a PINB odmówił jej wydania nakazu rozbiórki. ●

Tomasz Urzykowski

Zmiany w selekcji odpadów od 1 stycznia

Stara bluzka nie do zmieszanych

Od 1 stycznia nie można już wyrzucić starej bluzki czy butów do kosza na zmieszane. Trzeba szukać specjalnego kubła na odpady tekstylne. To lekarstwo na szaleństwo szybkiej i tandetnej mody.

Jakub Chełmiński

– Według nowych przepisów musimy zużyte ubrania, buty, pościel czy ręczniki wyrzucać selektywnie. Czyli nie tak, jak do tej pory do zwykłego kontenera – mówi Monika Michalska, znana na Instagramie jako „Pani od odpadów”, ekoedukatorka związana z branżą od 11 lat.

Zmiany w segregacji to efekt unijnych przepisów, które wchodzi w życie od 1 stycznia 2025. Oznaczają, że każda gmina w Polsce powinna mieć punkty zbiorów odpadów tekstylnych. Minimum to ustawienie specjalnych kontenerów w PSZOK-ach, czyli Punktach Selektywnego Zbierania Odpadów Komunalnych. To miejsca, gdzie powinniśmy odwozić stare meble, elektrośmieci czy pojemniki po farbach. Od teraz także ubrania i buty. – Tylko kto jeździ do PSZOK-u? – pyta retorycznie Monika Michalska.

Problem zużytych tekstyliów nie wydaje się duży, ale w praktyce branża fashion powoduje ogromne zanieczyszczenie środowiska. Pęd za modą i zmieniające się dwa razy w roku kolekcje powodują, że konsumenci zmieniają garderobę coraz częściej i kupują coraz więcej ubrań.

Choć trudno w to uwierzyć, przeciętny Europejczyk czy Europejka kupują co roku około 26 kg ubrań. Szafy puchną, więc starą garderobę trzeba wyrzucać. Statystyczny mieszkaniec i mieszkanka Unii Europejskiej wyrzucają co roku 11 kg starych ubrań i butów. A to dane z badania w 2019 roku, które podaje Ministerstwo Środowiska.

Wynika z nich także, że około 78 proc. pokonsumenckich odpadów włókienniczych, obejmujących odzież i obuwie oraz wyroby włó-



• Monika Michalska, ekoedukatorka na Instagramie znana jako Pani od odpadów FOT. PANI OD ODPADÓW / INSTAGRAM

kiennicze używane w gospodarstwach domowych i techniczne wyroby włókiennicze, nie jest zbieranych selektywnie.

Co z kontenerami na ubrania?

W Polsce, szczególnie w dużych miastach, mamy dostępne kontenery na odzież używaną ustawiane przez rozmaite organizacje. – Według rekomendacji ministerstwa klimatu i środowiska, wrzucanie starych ubrań do tych kontenerów spełnia wymogi selektywnej zbiórki – mówi Monika Michalska. Można więc nadal to robić, ale eksperci mają wątpliwości.

– Wiele z tych kontenerów należy po prostu do prywatnych firm, które zbierają ubrania dla zysku. Jakiś procent tego zysku oddają na cel charytatywny, ale chodzi o biznes. W przypadku PCK znamy drogę zebranych ubrań: są sortowane, te w dobrym stanie trafiają do ludzi, inne na przykład do produkcji paliw alternatywnych. W przypadku wielu innych firm ten proces nie jest transparentny, nikt nie wie, co się dzieje z tekstyliami, które nie nadają się do ponownego użycia, czyli do wstawienia to sklepów z używaną odzieżą. Nie można wykluczyć, że część łą-

Ratusz rekomenduje także oddawanie ubrań w dobrym stanie organizacjom charytatywnym

duje na dzikich wysypiskach – mówi Michalska.

Dlatego najbezpieczniej ubrania dobrej jakości oddać bezpośrednio do zbierającej je organizacji.

A co z tymi już zniszczonymi, których nikt już nie będzie nosił, a także starą pościelą, firankami, szmatami? Do tej pory trafiały do „odpadów zmieszanych”, a wraz z nimi w polskich warunkach najczęściej na wysypiska.

Od 1 stycznia to zabronione, więc pozostają PSZOK-i. Te w dwumilionowej Warszawie działają cztery: przy ul. Płytowej 1 – Białoleka, przy ul. Zawodzie 1 – Wilanów, przy ul. Tatarskiej 2/4 – Wola, przy ul. Kampinoskiej 1 – Bielany.

W niektórych warszawskich PSZOK-ach, np. przy Płytowej, kontenery na tekstylia stały już w 2024 roku, mieszkańcy oddali do nich 124 tony ubrań, ale to i tak kropla w morzu odpadów.

Jak segregować tekstylia w Warszawie?

Zapytaliśmy w urzędzie miasta, jak zamierzają ułatwić nowy obowiązek segregacji mieszkańcom.

Marzena Gawkowska rzeczniczka prasowa ratusza odpowiada, że zmiany będą, ale jeszcze nie teraz. – Cały czas pracujemy nad nowymi rozwiązaniami dla mieszkańców. Planujemy na przykład, by jeszcze w pierwszej połowie przyszłego roku tekstylia można było oddawać we wszystkich MPSZOK-ach – mówi.

MPSZOK-i to punkty mobilne, które pojawiają się raz w tygodniu w uczęszczanych miejscach dzielnic i można w nich oddawać elektrośmieci. Są położone znacznie bliżej osiedli mieszkaniowych.

Ratusz rekomenduje także oddawanie ubrań w dobrym stanie organizacjom charytatywnym.

Co ciekawe, Gawkowska zapowiada, że Warszawa rozważa wprowadzenie czegoś na kształt miejskich lumpeksów.

– W przyszłości planujemy również uruchomienie punktów wymiany ubrań w PSZOK-ach, by zmniejszać ilość odpadów tekstylnych w Warszawie – dodaje.

Co się dzieje z zebranymi tekstyliami

Po co właściwie selektywnie zbierać ubrania i co można z nimi potem zrobić? Nie ma na to dobrej odpowiedzi, tym bardziej w polskich warunkach.

Monika Michalska tłumaczy: – Obecnie praktycznie żadne odpady tekstylne nie nadają się do recyklingu, na świecie recyklinguje się około 1 proc. takich odpadów. Na przykład ze swetrów wełnianych robi się dywany, w Holandii działa startup, który recyklinguje buty sportowe, ale to działania laboratoryjne, jeszcze nie na skalę przemysłową.

Dlatego zdaniem Michalskiej, kierunek zmian jest głównie jeden: – Odzysk energetyczny z tekstyliów w spalarniach. Tylko takich zakładów w Polsce działa tylko dziewięć, nie zaspokoją wszystkich potrzeb – mówi.

Aktualnie duże spalarnie w Polsce mogą zutylizować 1,2 mln ton odpadów rocznie. Po otwarciu zmodernizowanego zakładu na Targówku i drugiego w Gdańsku te możliwości wzrosną o 0,5 mln ton, ale to wciąż za mało.

Pozostaje produkcja RDF (Refuse Derived Fuel) ze zużytych tekstyliów, czyli sprasowanych wysokoenergetycznych odpadów używanych do spalania na przykład w cementowniach. Marzena Gawkowska zapewnia, że warszawskie tekstylia zbierane do tej pory właśnie służą do produkcji RDF. Czyli jest nadzieja, że nasza segregacja nie pójdzie na marne.

Jakie kary za brak segregacji ubrań i butów

Ostatnie pytanie, co grozi, jeśli jednak nie będziemy segregować i stare sandały czy spodnie wyrzucimy do zmieszanych?

Tu kara pozostaje standardowa, jak za wrzucanie plastiku czy szkła do ogólnego kubła. – Aktualnie zastosowanie mają ogólne zasady dotyczące nieprawidłowej segregacji odpadów, czyli dwukrotnie wyższa opłata za gospodarowanie odpadami dla właściciela nieruchomości – mówi Marzena Gawkowska.

Czyli za jednego sąsiada śmieciarza cały blok może zapłacić podwójną stawkę. ●

WOŚP zagra w kosmosie

33. finał na hematologię i onkologię dziecięcą

Serduszko WOŚP z numerem 1 poleci w kosmos i wróci na Ziemię w ręce osoby, która je wylicytuje podczas 33. finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Finał już 26 stycznia

– Mam zaszczyt zabrać serduszko WOŚP w kosmos. Jestem z tego dumny. Mam nadzieję, że moja misja będzie inspiracją dla młodych inżynierów, ale też dzieci, żeby przyszłość budować w oparciu o wiedzę i technologię – mówił na konferencji zapowiadającej 33. Finał WOŚP dr Sławosz Uznański. Polak jako reprezentant Europejskiej Agencji Kosmicznej będzie uczest-

niczył w misji amerykańskiej firmy Axiom, która kilka lat temu zawarła z NASA porozumienie w sprawie komercyjnego korzystania z Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Misja zaplanowana jest na przyszły rok. Serduszko znajdzie się w bagażu podręcznym polskiego astronauty. A następnie wróci z nim na Ziemię i trafi do rąk osoby, która wylicytuje je w ramach aukcji WOŚP.

Jurek Owsiak: „Gramy 32 lata. To kosmos”

Jurek Owsiak, szef WOŚP, przypomniał, że tegoroczny 33. finał odbędzie się 26 stycznia. Zebrane środki zostaną przeznaczone na hemato-

logię i onkologię dziecięcą. – Ostatni raz graliśmy na ten cel 10 lat temu. W medycynie to kosmos, w tym czasie dzieją się rzeczy niebywale, które zmieniają optykę.

Jurek Owsiak wręczył Sławoszowi Uznańskiemu koszulkę WOŚP. Opowiedział, że serduszko z numerem 1, które poleci w kosmos, trzeba było lekko zmodyfikować. Z budowy usunięto igłę. Takie były wymogi bezpieczeństwa. – Kosmosem jest to, że gramy już 32 lata, a teraz za moment będzie 33. rok. Kosmosem jest to, że się tak potrafimy cudownie zgrać – mówił Owsiak.

Sławosz Uznański krótko opowiedział też o samej misji. – Po raz

pierwszy będziemy mieli taką okazję, żeby znaleźć się na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej i to nie tylko ja jako astronauta, ale również polskie firmy, polskie przedsiębiorstwa, polska nauka, polskie instytuty naukowe – tłumaczył. Dodał, że podczas misji będą przeprowadzane badania medyczne, eksperymenty z biologii, biotechnologii, fizyki, inżynierii mechanicznej. – Polska technologia będzie testowana w kosmosie – stwierdził.

Misja Ignis

Konferencja odbyła się w siedzibie Ministerstwa Rozwoju i Technologii.

Temu resortowi podlega Polska Agencja Kosmiczna. – Ignis – bo taką nazwę nosi ta misja – to ogień, a każdy, kto zna Jurka Owsiaka i śledził 32 dotychczasowe finały, wie, że w środku zimy jest ogień i energia – powiedział podczas konferencji Krzysztof Paszyk, minister rozwoju.

Dodał: – Kolejna ważna sprawa to połączenie misji kosmicznej z misją społeczną, a więc dzielenie się dobrem z innymi. To, że serduszko z numerem 1 znajdzie się w kosmosie, będzie piękną klamrą spinającą rozwój i naukę z odruchem serca i pomocą drugiemu człowiekowi. ●

Wojciech Karpieszuk

Skarżą się klienci firmy Panek

Tysiące za rysy na karoserii

Kolejni klienci firmy Panek są przekonani, że pobrała ona od nich pieniądze za rysy, które – jak twierdzą – były już na samochodach, gdy je odbierali. Co ciekawe, wszyscy oni mieszkają na stałe za granicą.

Michał Żyłowski

W połowie grudnia opisaliśmy historię dwójki klientów Panka, którym firma pobrała pieniądze za rysy, które znajdowały się na wynajętych przez nich autach już wcześniej. Wówczas chodziło o 12 i 3 tys. zł. Klientami tymi byli obywatele Polski, którzy mieszkali na Wyspach Brytyjskich. Kiedy „Wyborcza” zainteresowała się ich sprawą, firma natychmiast zwróciła im pieniądze. Nadal twierdziła, że rysy na samochodach powstały z winy klientów.

4 tys. za rysę na samochodzie Panka

Po tej publikacji do naszej redakcji zwróciły się do kolejne osoby, które czują się oszukane przez Panka. Pa-



• Samochody firmy Panek FOT. KRZYSZTOF MAZUR / AGENCJA WYBORCZA.PL

Czytelniczka zwróciła auto na lotnisku, nikt jego stanu nie sprawdzał. Panek pobrał z jej karty 4 tys. zł za uszkodzenia samochodu

ni Justyna mieszka w Wielkiej Brytanii, do Polski przyleciała 28 listopada. Samochód od Panka wynajęła jeszcze na lotnisku. – Pracownik Panka nie pofatygował się z nami na osobiste przekazanie auta. Otrzymałam tylko informację, gdzie ono się znajduje oraz kluczyk. Pracownik ujął aktualne uszkodzenia auta na tablecie, ale nie było możliwości zweryfikowania ich – relacjonuje pani Justyna. Zanim wsiadła do samochodu, zrobiła mu zdjęcia i nagrała film – widać na nich liczne rysy i obtarcia.

3 grudnia zwróciła auto na lotnisku. – Nikt przy nas auta nie sprawdził, bo nikogo nie zastaliśmy na stanowisku Panka. Wrzuciłam kluczyk do skrzynki – relacjonuje. Depozyt za wynajem samochodu został zwrócony na konto, a 24 godziny po zdaniu auta firma wysłała protokół odbioru.

Po dziewięciu dniach Panek wysłał pani Justynie mejlem fakturę za uszkodzenia samochodu na kwotę 4 tys. zł i pobrał te pieniądze z jej karty. Firma jako dowód wysłała trzy fotografie wykonane z odległości, która nawet nie pozwala na dojrzenie rys, o które mogłoby chodzić.

Pani Justyna próbowała odwołać się i odzyskać pieniądze, ale spełzło to na niczym – firma nie odpowiadała na jej mejle i inne próby kontaktu. – Nie zgadzam się z obciążeniem mnie kosztami za rysy, które nie powstały z mojej winy. Czuję się oszukana i naciągnięta – stwierdza pani Justyna. Dodaje, że ma wieloletnie doświadczenie w wynajmowaniu aut w Polsce i na świecie, ale nigdy nie spotkała się z podobną praktyką.

Klient z Irlandii: Nie mam już siły do nich dzwonić

Podobna sytuacja spotkała pana Przemysława mieszkającego na co dzień w Irlandii. On także wynajął samochód od Panka w listopadzie

tego roku. Zwracając go, obfotografował auto ze wszystkich stron. Samochód oddawał w środku nocy ze względu na poranny lot. – Rano pracownicy Panka zrobili inspekcję, a następnie wysłali mi dwa absurdalne zdjęcia, na których widać jedynie brud na nadkolu i zwyczajny kurz. Za to pobrano mi z karty 3 tys. zł – relacjonuje.

– Nie mam już sił do nich dzwonić i pisać mejli, bo firma mnie po prostu olewa. Wydaje mi się, że dla Panka to model biznesowy: wynająć tanio i skasować klienta za rysy, których nie zrobił – uważa Przemysław.

Panu Przemysławowi nie udało się uzyskać od Panka odpowiedzi przez miesiąc. Dostał ją dopiero wtedy, gdy „Wyborcza” zwróciła się do firmy z pytaniem o jego sprawę. 27 grudnia otrzymał odmowę na swoją reklamację, ale jednocześnie Panek poinformował go, że zwróci mu 921,12 zł „z uwagi na zakres uszkodzeń”.

Pani Justyna wciąż czeka na jakąkolwiek odpowiedź od Panka. Firma nie zareagował na jej reklamację, podobnie jak na nasze pytania w tej sprawie.

Jak się dowiadujemy, klienci, którzy czują się poszkodowani przez Panka, nawiązują kontakt przez internet, wymieniają informacje i rozważają pozew zbiorowy. ●

34346807

Informator usług funeralnych

34343276

MOKOTÓW

AMBER

Puławska 95,
tel. całodobowy 501 796 471

34343614

ŚRÓDMIEŚCIE

Exitus

www.exitus.com.pl;
tel. 501 210 360

34343334

WOLA

DOM POGRZEBOWY „BABICE”

ul. Okulickiego 5C, 05-082 Stare Babice
tel. całodobowy 602 11 89 49
www.babice.com.pl

34343618

OKOLICE WARSZAWY

Exitus

Otwock, Kościelna 1 a,
tel. 22 779 23 39
Mińsk Mazowiecki, 1-go PLM „Warszawa”,
tel. 25 759 17 25

34343435

WOLA

Exitus

Al. Solidarności 147,
dyżur całodobowy tel. 22 620 24 18,
vis a vis Urzędu Warszawa Wola

34342282

MOKOTÓW

ATMAN (22) 542 89 20; 606 299 275
ul. Rakowiecka 61 teren kościoła

34343435

URSYNÓW

ATMAN (22) 425 37 02; 606 299 275
ul. Stryjeńskich 21 teren kościoła

20 grudnia 2024 roku
odszedł nasz Przyjaciel

Andrzej Pietrzak

Absolwent Politechniki Warszawskiej
Wydział Elektryczny rocznik 1966
Znakomity, serdeczny Kolega, zawsze gotowy
wspomagać proszących o pomoc
Sponsor i Darczyńca na rzecz Fundacji wspomagającej
osoby wymagające wsparcia finansowego

Żegnaj Andrzeju
na zawsze pozostaniesz w naszej pamięci

Najbliższym

Andrzeja przekazujemy wyrazy współczucia
łącząc się w żalu Po utracie Męża, Ojca i Dziadka

Bogdan Galwas, Krystyna i Wiesław Kietlinscy,
Joanna i Ryszard Kunicy, Andrzej Łachut, Ewa i Jurek Mazurkowie,
Hanna i Alfred Nowakowie, Maryla i Jerzy Wiśniewscy

Tą wiadomość przyjęliśmy z ogromnym smutkiem i bólem,
opuścił nas na wieczną wartę nasz drogi, wieloletni Przyjaciel

Andrzej Pietrzak

Człowiek o nieprzeciętnych zaletach i niezwykłym dorobku życia.

Iwonie, Ani, Justynie
i ich Rodzinom

składamy
wyrazy najgłębszego współczucia i łączymy się w żalu

Ewa, Jurek, Kasia

Agnieszce Stybel

Wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Matki

składają
przyjaciele z Kamionka
Agnieszka, Małgosia, Dorota i Wojtek Angelika i Grzegorz,
Andrzej i Basia z Mamą

Kochanej Przyjaciółce

Kasi Jobs

wyrazy współczucia z powodu odejścia

Taty

przesyłają
Ewa i Bolesław Rok

Z wielkim żalem przyjęliśmy wiadomość,
że 25 grudnia 2024 roku zmarł

dr Stanisław Rogowski

poseł na Sejm X i II kadencji
pierwszy Rzecznik Ubezpieczonych (1995-2007),
o ogromnych zasługach
dla zrównoważonego rozwoju rynku ubezpieczeniowego
członek Rady Fundacji Instytut Zarządzania Ryzykiem Społecznym
nade wszystko Człowiek, na którym zawsze można było polegać

Najbliższym

składamy
serdeczne wyrazy współczucia
Rada i Zarząd Fundacji

eprasa.pl 59d57d7b8f

22 grudnia 2024 roku zmarł
mój kochany Mąż i Przyjaciel



Andrzej Nazar

Przeżyliśmy razem czterdzieści pięć lat – były to dobre lata,
a teraz muszę nauczyć się żyć wspomnieniami.

Będzie mi Ciebie brakowało, ale dziękuję, że byłeś...

Do zobaczenia, Kochanie...

Justyna

Pogrzeb odbędzie się 2 stycznia 2025 roku
na Cmentarzu Północnym o godz. 12:00,
Dom Pogrzebowy Sala A

34354869

W dniu 13 grudnia 2024 roku zmarła w wieku 84 lat



Maria Terlecka

artystka, pisarka, dziennikarka, warszawianistka,
szczególnie związana z warszawską Pragą

Uroczystości pogrzebowe odbędą się
dnia 2 stycznia 2025 roku o godzinie 13:00
w kaplicy Domu Pogrzebowego na Powązkach Wojskowych,
po czym nastąpi odprowadzenie
na Cmentarz Powązki Stare do grobu rodzinnego.

O czym zawiadamia pogrążony w głębokim smutku

syn z żoną

34354872

Z głębokim smutkiem żegnamy
Naszego Serdecznego Kolegę

Józefa Wrońskiego

Rodzinie i Bliskim

wyrazy głębokiego współczucia
składają

*Dyrekcja i Pracownicy
z Zakładu Gospodarowania Nieruchomościami
w Dzielnicy Mokotów m.st. Warszawy*



34354886

Bardzo nam smutno z powodu odejścia
Przyjaciela naszej rodziny

doktora Janusza Garlickiego

Wiele mu zawdzięczamy.

Małgosiu,

wyrazy współczucia dla całej Waszej rodziny

Janina Wunderlich i Joanna Olech



34354881

Drogiej Joannie i Jej Rodzinie,

wyrazy głębokiego współczucia z powodu odejścia Taty

**Wacława
Gluth-Nowowiejskiego**

Powstańca Warszawskiego, ostatniego robinsona, dziennikarza.
Był dla nas wzorem patriotyzmu, skromności i pogody ducha,
bez względu na okoliczności.

Pozostanie zawsze w naszych sercach i pamięci.

Joanno, jesteśmy z Tobą.
Alicja, Anna i Małgorzata

34354880

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że 27 grudnia 2024 roku w wieku 84 lat
zmarła Kochana Żona, Mama i Babcia

**ŚP
Regina Wesółowska**

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się
w Kościele Parafialnym pw. Świętej Rodziny
na Zaciszu ul. Rozwadowska 11
w dniu 7 stycznia 2025 roku o godzinie 12.00.
Po czym nastąpi odprowadzenie Zmarłej
na Cmentarz Bródnowski do grobu rodzinnego Al. 17C

Mąż i Syn z Rodziną



34354927

Zmarł

Wojtek Celiński

Ojciec mojego syna.
Przyjaciel.

Łączę się w bólu
z Rodziną.

Danuta Celińska-Cedro

34354908

Zbyszkowi Wesółowskiemu

z powodu śmierci

Żony Reni

wyrazy głębokiego współczucia
składa

Wiesław Nowak z rodziną



34354954

Drogiej Koleżance

Beacie Balskiej

wyrazy współczucia z powodu śmierci

Mamy

składają

Dyrekcja oraz koleżanki i koledzy z Biblioteki Sejmowej



34355005

Pani

Izabeli Trojanowskiej

Słowa wsparcia i wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają

Realizatorzy serialu „Klan”

34354976

Wyrazy głębokiego i szczerzego współczucia

Pani

Izabeli Budny

z powodu śmierci

Mamy



składają

*pracownicy i Zarząd
MSM „Energetyka”*

34355025

 nekrologi.wyborcza.pl ODESZLI.pl**Złóż kondolencje**

Kontakt: nekrologi@wyborcza.pl | tel. (22) 555 55 55

 **DLA FIRM, URZĘDÓW I INSTYTUCJI**

- **Przetargi**, licytacje, zamówienia publiczne
- **Ogłoszenia** sądowe i rekrutacyjne
- **Nekrologi**, kondolencje, wspomnienia



KONTAKT: | kontakt_komunikaty@wyborcza.pl, tel. 507 094 232 | nekrologi@wyborcza.pl, tel. 22 555 55 55

 Komunikaty.pl nekrologi.wyborcza.pl

3. Sztuczna inteligencja

Ze sztuczną inteligencją jest jak z dzieckiem dalszych znajomych: dopiero co uczyło się mówić i rysowało śmieszne ludziki z sześcioma palcami, a tu ani się obejrzyysz i zdaje maturę, prowadzi samochód, a szef zaczyna rozważać powierzenie mu twojej pracy.

Tak jak w przypadku włodarzy Radia Kraków, którzy w październiku tego roku zapowiedzieli, że audycje w OFF Kraków poprowadzą awatary: Alex, Emi i Kuba. A wcześniej rozstali się z ludzkimi współpracownikami stacji. Decyzja wzbudziła duży medialny odzew, zapewne zgodnie z planem władz. Sęk w tym, że był on jednoznacznie negatywny. Dziennikarze i dziennikarki zgrzytali zębami, czytając wygenerowane przez AI artykuły złożone z powtórzeń, frazesów i wyspanych z palca danych. Ale i one wypadały niezłe w porówna-

niu z „wywiadem”, jaki bot Emi przeprowadził z cyfrowym widmem Wisławy Szymborskiej. „Poetka” poproszona o skomentowanie informacji o literackim Noblu dla koreańskiej pisarki Han Kang odpowiadała: „Szczerze mówiąc, wołałabym, żebyś nie zaczynała od tej poważnej Nagrody Nobla. Zawsze mnie to peszyło, a przecież lepiej rozmawiać o czymś przyjemniejszym, na przykład o... kotach?” – udowadniając, że w haśle „sztuczna inteligencja” drugi człon wciąż bywa mocno na wyrost. Czy na wyrost były też gro-my, jakie spadły na prezesa Radia Kraków, skoro – jak tłumaczył – OFF Kraków miało tak marginalną słuchalność, że i tak zostałyby wygaszone? Można dyskutować. Z pewnością oburzenie wzmagała świadomość, że OFF Radio nie jest wyjątkiem. Sztuczna inteligencja uczestni-

czy w coraz większej liczbie procesów i podejmuje coraz więcej decyzji – często w sprawach dużo poważniejszych niż radiowa ramówka. Niekiedy przynosi to pozytywne rezultaty, jak w przypadku AlphaFold, która nauczyła się przewidywać kształty, w jakie zwiągają się nici białek, co m.in. daje szansę na przełomy w przewidywaniu i leczeniu chorób, znalezieniu szczepionek, walczeniu z antybiotykoopornością czy tworzeniu bardziej ekologicznego przemysłu. Ale niekiedy ma skutki oplakane albo trudne do przewidzenia – tempo zmian jest tak wielkie, że nawet eksperci nie są pewni, co czeka nas za kilka lat. Czy wykończą nas zbuntowane roboty? Biorąc pod uwagę, ile energii i wody pochłania sztuczna inteligencja oraz ile śmieci produkuje, może wcale nie być to najgorszy scenariusz. ●

4. Wizja komunizmu (niestety)

Jeśli o sile sztuki świadczy to, jak długo potrafi budzić emocje, „Imagine” Johna Lennona jest niewątpliwie dziełem wybitnym. Ledwo co opadł kurz po niesławnym wykonaniu utworu przez zamkniętych w luksusowych posiadłościach celebrytów, a już „Imagine” wróciło z przytupem. Tym razem dzięki Przemysławowi Babiarzowi, który komentował dla TVP ceremonię otwarcia igrzysk olimpijskich w Paryżu. „Imagine”, od lat 90. nieoficjalny hymn igrzysk, Babiarz skwitował słowami: to jest wizja komunizmu, niestety. Paryskie widowisko oburzyło nie tylko polskiego komentatora. Konserwatyści wściekli się, widząc scenę, która ich zdaniem naśladowała „Ostatnią wieczerzę” Leonarda da Vinci. Nie pomógł nawet fakt, że – jak tłumaczył dy-

rektor artystyczny show – inspiracją była nie chrześcijańska ikonografia, ale XVII-wieczny obraz przedstawiający ucztę greckiego boga Dionizosa. Doszukiwanie się w „Imagine” propagowania komunizmu to jeden z zabawniejszych przejawów kulturowych obsesji prawicy. Były, niestety, również paskudniejsze: w kolejnych dniach olimpiady prawnicowi politycy (przy wsparciu rosyjskich trolli) powołali samowolny komitet ds. oceny kobiecości zawodniczek – mimo braku dowodów, wiedzy i empatii prowadząc nagonkę na te, które ocenił jako „genderowo podejrzane”. Taki los spotkał m.in. algierską pięściarkę Imane Khelif, która w Paryżu zdobyła złoty medal. W Paryżu nie brakowało jednak momentów łączących widzów. Takie były choćby występy komentującego igrzyska dla te-

lewizji NBC rapera Snoop Dogga, który budził entuzjazm porównywalny ze sportowcami – wszystko jedno, czy tanecznym krokiem niósł znicz, czy tańczył z amerykańskimi gimnastyczkami, czy karmił olimpijskiego konia. Na szczęście najważniejszy okazał się sport. Od heroicznej walki polskich siatkarzy (zagrzewanych w niezapomnianym stylu przez Tomasza Fornalą); przez triumfalny powrót Simone Biles, która w 2021 r. wycofała się z występów na igrzyskach w Tokio, a w Paryżu poprowadziła do zwycięstwa w wieloboju amerykańską drużynę, potem zgarnęła jeszcze dwa złote i jeden srebrny medal; po występy strzeleckie Yusufa Dikeę i Kim Ye-ji – olimpiada dała nam emocje, którym trudno było nie ulec. Nawet tym, którzy na co dzień nie interesują się sportem. ●

5. Sukcesja

Gdy w maju zeszłego roku HBO (obecnie Max) wyemitowało ostatni odcinek serialu „Sukcesja”, przed ekranami zasiadły niemal 3 mln widzów. Opowieść o rodzeństwie Royów walczącym o przejęcie medialnego imperium ojca miała być wzorowana na historii rodziny Ruperta Murdocha, właściciela m.in. telewizji Fox i Sky. Od pierwszego odcinka serial wyróżniał się wśród serialowych produkcyjniaków: świetnym aktorstwem, błyskotliwymi dialogami i umiejętnością łączenia czarnej komedii z szekspirowską tragedią. Slapstick mieszał się z rodzinnymi traumami, miliony dolarów znikwały jak drobne z kieszeni płaszcza. Polscy fani „Sukcesji” nie mogli wiedzieć, że już niedługo będą śledzić jej nadwiślań-

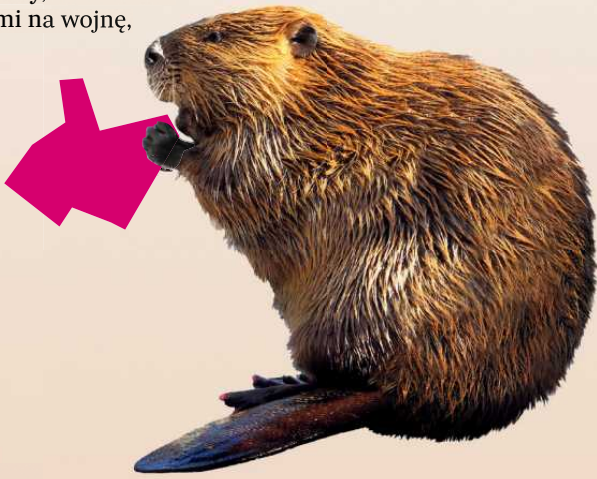
ski remake. Logana Roya zagrał w nim Zygmunt Solorz, właściciel m.in. grupy Polsat Plus. W październiku synowie i córka miliardera wysłali do akcjonariuszy spółki list sugerujący, że w imieniu ojca decyzje podejmuje jego czwarta żona Justyna Kulka. W odpowiedzi Solorz odwołał ich z władz swoich spółek. Przez kolejne tygodnie Polacy z zapartym tchem śledzili kolejne pisma i oświadczenia, wyciekające nagrania ze spotkań zarządu, opinie prawników, domysły i plotki. Igrzyska? Owszem. Rozrywka żerująca na niskich instynktach, na granicy przyzwoitości? Z pewnością. Ale w fascynacji, jaką budzi obserwowanie walk o sukcesję, można widzieć coś jeszcze. Miliarderzy od Solorza po Muska mają ogromny

wpływ na życie nas wszystkich. W świecie wciąż rosnących nierówności decyzje biznesowe zapadają w zaciszach gabinetów i na najwyższych piętrach biurowców – na ogół bez naszej wiedzy, z reguły bez pytania nas o zdanie. W „Sukcesji” HBO najlepsza i najsmutniejsza zarazem była świadomość, że każde utożsamienie się z bohaterami będzie pozorne – życie miliardarów nie ma nic wspólnego z naszym. Choć rodzeństwo Royów pozornie gra o wielką stawkę, to tylko złudzenie – w tej grze nikt nie przegrywa, każdy upadek zamortyzuje okazała poduszka finansowa. Zwykłym zjadaczom chleba zostaje śledzenie widowiska. I uśmiech bezradności. Również w prawdziwym życiu. ●

6. Bobry

– Czasami trzeba wybierać między miłością do zwierząt a bezpieczeństwem miast, wsi i stabilnością wałów – zapowiedział premier Donald Tusk w Głogowie. Był 21 września, przez Polskę przetaczała się gigantyczna fala powodziowa. Jej skutki były katastrofalne. Niektóre miejscowości, jak Stronie Śląskie, Łądek-Zdrój czy Kłodzko, zostały niemal w całości zalane. Wiele innych poważnie ucierpiało. Skala tragedii była ogromna. Nietrudno zrozumieć, że powodzianie szukali winnych. Trudno – że szef rządu postanowił skupić się akurat na bobrach. Słowa Tuska zostały odebrane jako zapowiedź walki z wodnymi gryzoniami i wzburzyły ekologów. Bo, jak podkreślają przyrodnicy, te bobry są niezwykle ważną częścią ekosystemu. Budując tamy, tworzą naturalne zbiorniki retencyjne zatrzymujące wodę w czasie suszy, oczyszczające i dotleniające rzeki. Owszem, rozkopują wały, ale zamiast iść z bobrami na wojnę,

wystarczy zabezpieczyć wał metalową siatką. Zwłaszcza że bobry zdążyły wyrosnąć na nieoficjalny symbol naszego kraju. Wszystko przez filmiki nagrywane i zamieszczane w internecie przez Polaków, którzy spotkali to zwierzę. W którymś momencie nabierało się ich tyle, że zaczęły przelewać się z polskojęzycznej sieci na świat. Skonfundowani mieszkańcy Europy Zachodniej pytali, czym jest „bober”. Mieszkańców Europy Wschodniej cieszył barwnie wyrażany polski entuzjazm. Szczególną radość me-my budziły w Ukrainie, która od 2023 r. używa do walk z Rosją bojowych dronów Bóbr (po ukraińsku: Bober). Być może ktoś pokazał je również premierowi Tuskowi, bo od czasów powodziowych zapowiedzi wielki odstrzał bobrów na szczęście się nie zaczął. I oby tak zostało. ●



7. Żuromin

„Polskie Twin Peaks” – powiedział o nim kolega. Coś w tym jest. O niespełna dziesięciotysięcznym miasteczku w województwie mazowieckim wiosną usłyszała cała Polska. Przyczyna? Fentanyl, niezwykle silny opioid, który w Ameryce Północnej zabił już setki tysięcy osób. I który miał zbierać śmiertelne żniwo również w Żurominie. Jako pierwsi donieśli o tym dziennikarze programu „Uwaga!” emitowanego w TVN. To w nim mieszkańcy Żuromina opowiadali o przedawkowaniach narkotyku, który miał rozprowadzać diler zwany „Duchem”. W kolejnych tygodniach miejscowością zainteresowały się inne media, opinia publiczna i politycy. „Musicie ich dopaść!” – grzmiał w zamieszczonym w serwisach społecznościowych filmiku premier Donald Tusk, krążąc po swoim gabinecie z miną szeryfa. „Duch” w wersji medialnej był niczym Lynchowski Bob: przerażający demon krążący nad miasteczkiem Twin Peaks, czające się w mroku Zło, któ-

re miesza w spokojnym życiu jego mieszkańców. I – całkiem jak w przypadku Boba – był to obraz pociągający i nieprawdziwy. Bo aresztowanie jednego dilerka, choćby najsprawniejsze, nie rozwiązuje problemu opioidów. A jest on złożony również dlatego, że prawdziwe zagrożenia przykrywa atmosfera moralnej paniki. Gdyby kierować się nagłówkami z portali, fentanylowa epidemia ogarnęła Polskę z dnia na dzień i równie szybko została uleczona. W rzeczywistości do epidemii nam daleko, ale problem uzależnień istnieje i poza zdecydowanymi ruchami – jak większa kontrola nad działalnością tzw. receptomatów – wymaga długoterminowych, przemyślanych, systemowych działań. Na razie fentanyl stanowi znikomą część narkotyków zabezpieczanych przez policję. Ryzyko, że na ulicach Warszawy wyrosną miasteczka namiotowe uzależnionych jak w USA czy Kanadzie, jest raczej niewielkie. Zwłaszcza jeśli wykorzystamy szansę, by uczyć się na cudzych błędach. ●

BYWA TAK, ŻE LUDZIE SIĘ PO PROSTU KOCHAJĄ

To naprawę się czasami zdarza

Z **KRYSZYŃĄ ZACHWATOWICZ**
ROZMAWIA **JAROSŁAW KURSKI**

– Poczekaj, Jarku, chwilę, tylko nakarmię kotkę, bo nie da nam spokoju [otwiera paczuszkę mokrej karmy]. W PRL karmiłam nasze koty mrożonymi dorszami.

Mówiło się wtedy: „Jedźcie dorsze, g... gorsze”.

– Jak nie miałam czasu gotować, to wyjadałam kotom te dorsze.

To nie jest anegdota, żeście się nigdy z Andrzejem nie pokłócili?
– Nigdy.

A dlaczego się nigdy nie pokłóciliście?

– Nie było powodu. A nie, przepraszam. Raz pokłóciliśmy się na planie „Zemsty”. Ja się obraziłam. Jako scenograf zawsze pilnuję, żeby wszystkie guziki były zapięte. Ale musiałam na chwilę wyjść. W kontuszach są wyloty, takie drugie rękawy, które albo się spina, albo zostawia rozłożone.

W każdym razie ekipa z Andrzejem zaczęli kręcić beze mnie. Narobili jakichś strasznych głupot. Nie poczekali i się wściekłam. Ale naprawdę o szczegół w kostiumach – teraz myślę, że nieważny – ta kłótnia była jednak krótkotrwała.

Zaczynałaś w teatrze Tadeusza Kantora.

– Tak, miałam szczęście brać udział w pierwszym przedstawieniu powojennym Teatru Cricot 2. W pantomimie „Studnia”. Każde zetknięcie z Kantorem było przeżyciem. Byłam pod jego wielkim wpływem i urokiem. Widziałam, jak pracuje, jak organizuje przestrzeń, jak rozmawia z aktorami. To doświadczenie na całe życie. Miałam do wypowiedzenia jedno tylko zdanie: „Czy nie widział pan mojego małego, białego pieska?”

Graliśmy w Związku Plastyków na Łobzowskiej. Tam są takie wielkie okna wychodzące na ulicę, ja tylko w jakimś trykociu, zimno, no przemarzałam potwornie. I jak miałam wypowiedzieć to jedno zdanie, to okazało się, że nie mam głosu!

Potem była Piwnica pod Baranami, gdzie miałaś wielkie przeboje z nieśmiertelną „Bo taka głupia to ja już nie jestem”.

– Andrzej też się przyjaźnił z Piotrem Skrzyneckim, zaczął bywać w Piwnicy. Na jednym z występów miałam blond perukę i usta pomalowane na zielono. A na samym końcu przepoczwarałam się tak, by widownia tego nie widziała. Usta malowałam na czerwono, zdejmowałam perukę, zakładałam czarny kostium i mówiłam krótki tekst o smutnym losie aktorów, którzy nie mają pieniędzy i dlatego wyjeżdżają z Krakowa.

Po programie pan Andrzej zagląda do garderoby i mówi: „Bardzo mi się pani podobala, ale kto to była ta na końcu, w czarnym kostiumie?”

To dzięki Skrzyneckiemu poznałaś Andrzeja.

– Tak, Andrzej miał kłopot. Uważał, że sam zrobi inscenizację „Biesów” dla Starego Teatru. Adaptację, reżyserię, scenografię, kostiumy. Szybko zrozumiał, że to niemożliwe. I wtedy się pożalił Skrzyneckiemu, że nie daje rady i szuka scenografa. A Piotr na to, że „Krysia ci to zrobi”.

Wiesz, ja jestem taka stara, że widziałam w Paryżu w 1958 roku pierwszą adaptację „Biesów”, którą zrobił Albert Camus. To była tradycyjna scenografia. Akcja przenosiła się z salonu do pokoju, z pokoju do sieni. A Andrzej miał wspaniałą pomysł scenografii – cała scena to błotnisty trakt, na którym stawia się tylko konieczne zastawki i meble, a wszystkie te zmiany robią czarno ubrane postacie kuroko, z teatru japońskiego. Genialnie wymyślone.

No ale jak utylić aktorów w błocie, jak je nawieźć na scenę?

– To było oczywiście niemożliwe, więc zrobiłam sztuczne błoto z polichlorku winylu, a także tym polichlorkiem winylu ubrudziłam buty, mankiety spodni i rąbki sukien. No, to było prawdziwe błoto!

„Biesy” nie były dobrze widziane przez władze.

– Tak, bo Dostojewski ukazuje ponury rewers każdej rewolucji. A Biesy były przecież zakazane w ZSRR! Jakimś tylko cudem pojechaliśmy ze spektaklem na festiwal do Londynu, gdzie dostaliśmy owacje na stojąco i wspaniałe recenzje. Wracaliśmy w poczuciu triumfu, myśleliśmy, że na lotnisku będzie czekać na nas telewizja. Tymczasem wita nas zalana łzami pani z Pagartu: „Wy-



• **Krystyna Zachwatowicz jest historyczką sztuki i znaną scenografką. Była żoną Andrzeja Wajdy od 1974 r. aż do jego śmierci w 2016 r.**

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

ście nigdy nie byli w Londynie!” – mówi. „Co się stało?” – pytamy. „Protestowała ambasada radziecka w Wielkiej Brytanii!”

Cóż, można powiedzieć, że wszystko między nami zaczęło się od błota.

Przez te czterdzieści trzy lata zrobiliście w samym tylko teatrze – uwaga – trzydzieści siedem wspólnych realizacji! Nie mówię o filmach Andrzeja, w których grałaś, o kostiumach czy scenografii, które dla niego robiłaś. No i jeszcze wasze działania społeczne.

– Właśnie dlatego nie mieliśmy czasu na kłótnie. Sama się zdziwiłam, jak sobie to zestawienie wydrukowałam. Ślubu długo nie braliśmy, dopiero jakieś względy formalne nas do tego skłoniły. Pobraliśmy się na Żoliborzu. Piotr Skrzynecki i Basia Ślesicka byli świadkami. Nie było żadnych gości. Z tej ceremonii nie ma nawet żadnego zdjęcia. Nie była ważna. Każde z nas miało już za sobą małżeństwa. Ja dwa, a Andrzej nawet trzy.

Tymczasem wasze właśnie okazało się najtrwalsze. Może siła waszego związku polegała na dzieleniu wspólnej pasji i wspólnej pracy?

– Na pewno tak. Myśmy się nigdy ze sobą nie nudzili. Andrzej był tylko cztery lata starszy ode mnie. A więc ta sama generacja. Miał podobne przeżycia okupacyjne, podobne poglądy polityczne. Mamy podobną wrażliwość artystyczną i malarską. Andrzej

był też uczniem Frycza, również po krakowskiej Akademii.

Myśmy się rozumieli bez słów. A poza tym bywa tak, że ludzie się po prostu kochają. To naprawę się czasami zdarza.

Nie wiem, czy mogę tak powiedzieć, ale obok Andrzeja drugim mężczyzną twojego życia był ojciec – Jan Zachwatowicz, wybitny architekt, konserwator zabytków, humanista. Ty masz do niego stosunek szczególnie, powiedziałbym nawet, że to idolatria.

– Tak, ojcu zawdzięczam to, kim i jaka jestem, i zawsze starałam się na nim wzorować, zwłaszcza jeśli chodzi o jego stosunek do tego, co nazywamy obowiązkiem wobec społeczeństwa czy kraju.

Ojciec urodził się niedaleko Petersburga i w Petersburgu kończył szkoły. Jak twoja rodzina znalazła się w Rosji?

– Mój dziadek był kolejarzem w Łapach. Pracował jako maszynista. Zapobiegł katastrofie kolejowej i ocalił życie jakiejś arystokratycznej rosyjskiej rodzinie. W nagrodę przeniesiono go do Petersburga. Starsza siostra ojca, moja ciotka, wyszła za mąż za Rosjanina.

Z jej potomkami nie utrzymuję kontaktów. Ale raz w latach 60. pracowałam w Moskwie w teatrze Sowremiennik. Akurat była rocznica rewolucji. Miałam trzy dni wolnego, wzięłam bumagę z teatru



i pojechałam do cioci do Leningradu. Gdy dziadek sprowadził się do Petersburga, dostał pięciopokojowe mieszkanie, które po rewolucji zostało zamienione na komunalną. Mieszkała tam nie jedna, ale pięć rodzin.

Siadamy do kolacji. Nagle dzwonek do drzwi. KGB: „.... u was są goście z Polski...”. Zamiast rodzinnych wspomnień zaczęły się domysły: „Kto doniósł?”. Gdy opowiedziałam, że kartkę pocztową zapowiadającą mój przyjazd wysłałam z hotelu, wszystko stało się jasne. W Związku Radzieckim KGB interesowało się nawet jakąś nieważną dziewczyną z Polski, która robi scenografię w teatrze.

Twój ojciec miał marzenie, by zrobić monografię jakiegoś zabytkowego obiektu, od A do Z, ale nie było mu to dane, bo robił rzeczy bardziej pożyteczne. Odbudowa stolicy, wcześniej ratowanie zabytków z pożogi wojennej.

– Bo taki był to dom. Wychowano nas do bezinteresowności. W życiu nie słyszałam w domu rozmowy o pieniądzach. Nauczono mnie, żeby się nie zajmować sobą.

Kiedyś przyjechał do Starego Teatru w Krakowie na premierę „Nie-Boskiej komedii”. Jak napisała prasa: „scenografia młodej, obiecującej”... Powiedział mi wtedy, z pewną nostalgią w głosie: „Wiesz, Krysiu, że ja zawsze chciałem być scenografem”. Nigdy wcześniej mi tego nie powiedział.

W życiu nie słyszałam w domu rozmowy o pieniądzach.

Nauczono mnie, żeby się nie zajmować sobą

Dziadka nie było stać, by opłacić mu akademię sztuk pięknych. Tata poszedł więc do szkoły inżynierskiej, technicznej, budowlanej i tak porzucił marzenia.

Ale za to odbudował Warszawę.

– Ojciec przywracanie historycznego kształtu stolicy uważał za ciąg dalszy walki z okupantem, za realizację rozkazu z roku 1945 Armii Krajowej i rządu polskiego w Londynie, którego był delegatem w czasie okupacji. A rozkaz był taki, by nie wchodzić w formalne relacje z reżimem komunistycznym – odbudowywać kulturę, naukę, dbać o dziedzictwo historyczne. Chodziło o to, by były polskie szkoły i uniwersytety, biblioteki, teatry, byśmy przetrwali jako naród... Dzięki takim ludziom jak mój ojciec, dzięki tym, którzy pracowali w Biurze Odbudowy Stolicy, cała Warszawa nie wy-

gląda dzisiaj tak, jak wygląda socrealistyczny MDM. Jest Starówka, jest Zamek Królewski, jest Nowy Świat.

Byłaś w powstaniu, miałas czternaście lat. Na czym polegała twoja walka w Szarych Szeregach?

– To nie była walka – byłam tylko w służbach pomocniczych. Mieszkaliśmy przy Koszykowej. Na Wilczej był punkt informacyjny. Chodziłam tam codziennie rano w mundurku harcerskim z opaską białą-czerwoną. Miałam pseudonim „Czyżyk”. Dawali mi jakieś drobne zadania. Bardzo często roznosiłam „Biuletyn Informacyjny”. Chodziło się piwnicami, tunelami, przekopami. Raz wychodzę na podwórko, zupełnie puste, i młody człowiek pyta: „Dokąd idziesz, dziewczynko?”. Uratował mi życie, bo już w następnym domu byli Niemcy.

Jak dziś oceniasz fakt, że do walki używano was, dzieci? Podoba ci się pomnik Małego Powstańca?

– Bardzo mi się nie podoba, bo żadne tak małe dzieci nie brały udziału w walkach! Ale myśmy już nie byli dziećmi. Bardzo tego chcieliśmy, zresztą nasi rodzice się na to godzili. A były zasady: że do służby sanitarnej i pomocniczej takiej jak moja brano od czternastu lat.

Do tej pory wszystko umiem zabandażować i robię zastrzyki. We cztery nosiłyśmy rannych. Dopiero wówczas zdałam sobie sprawę, jak ciężki jest człowiek bezwładny albo martwy. Aby dostać broń, trzeba było mieć ukończone szesnaście lat.

Rozmawiałas z ojcem o sensie tego zrywów?

– Tylko raz. Po powstaniu, na Dworcu Zachodnim Niemcy wepchnęli nas na taki odkryty wagon ewakuacyjny – łorę. I wówczas w uniesieniu powiedziałam, że „te sześćdziesiąt trzy dni to było takie wspaniałe przeżycie!”, że po pięciu latach okupacji niemieckiej zawisły w Warszawie polskie flagi!”. Ojciec zwykle był bardzo opanowany. Nie przeklinał, w domu nie można było powiedzieć nawet słowa „cholera”. Ale tym razem się wzburzył i powiedział, że mówię głupstwa – że to była potworna nieodpowiedzialność, niepotrzebna ofiara z setek tysięcy ludzi, zwłaszcza cywilów, że zniszczone miasto...

Ja od tamtej pory uważam tak jak ojciec. Andrzej zrobił film „Katyń” i to jest właściwie opowieść o kobietach, które czekają. Ale nikt nie zrobił filmu o czekających kobietach w Powstaniu Warszawskim. Moja mama przez sześćdziesiąt trzy dni powstania codziennie rano wyprawiała tatę i mnie na miasto, ze świadomością, że może wrócimy, a może nie. Nie było z nami żadnego kontaktu. Raz dostałam meldunek do przeniesienia na drugą stronę Marszałkowskiej. I gdy wracałam, dowódca odcinka mnie nie przepuścił, bo był za duży ostrzał. W oczekiwaniu na przejście spędziłam całą noc, a mama umierała ze strachu. Następnego dnia znów wyprawiała nas na miasto. Nie powiedziała jednego słowa.

Pisała Wisława Szymborska, że „Po każdej wojnie, ktoś musi posprzątać”, i to robił twój ojciec ze świadomością swego pokolenia o fatalizmie wojny. A tobie, młodej, nowe życie słało się pod nogi.

– Tak, najpierw więc poszłam do liceum sztuk plastycznych. Straciłam rok, bo chorowałam na płuca i spędziłam ten czas w Zakopanem. Tam zresztą nauczyłam się jeździć na nartach i dzięki temu zdobyłam nawet jakieś mistrzostwo i wzięli mnie do kadry narodowej, trenowałam w sekcji AZS Zakopane. Potem trochę się wspinałam w Krakowskim Klubie Wysokogórskim. Zrobiłam wejście na Gerlach najtrudniejszą drogą. Wtedy nauczyłam się szacunku dla gór. I tego, że wiem, z kim poszłabym na wspinaczkę, a z kim – nigdy... Ale te szaleństwa skończyły się poważną kontuzją kolan i tyle było tego sportu. Chciałam pójść na architekturę, ale mama mi odradziła. To były czasy stalinowskie, socrealizm, zero swobody twórczej i brak nadziei, że to się kiedykolwiek zmieni.

W 1948 r. zrobiłam maturę w Liceum Sztuk Plastycznych, ale przekornie zdałam na filozofię na Uniwersytet Warszawski i chodziłam na wykłady profesora Władysława Tatarkiewicza. Ale po roku zabrali mu wykłady. Nie chciałam studiować marksizmu i tak skończyła się moja przygoda z filozofią. No i wylądowałam na historii sztuki, bo był to kierunek stosunkowo najmniej zideologizowany.

No ale to był już Kraków. Porzucasz stolicę i przenosisz się do miasta, z którym nic cię nie łączy. Nikogo nie znasz. Odważnie.

– Bo zachwyciłam się Krakowem. W Polsce miasta to są ulicówki. Warszawa też jest ulicówką. Tymczasem miasta zbudowane na prawie niemieckim mają rynek, miej-

sce spotkań, agorę. Ludzie się tu integrują. Tak jest w Niemczech, tak jest w południowej Francji. Wszystkie ulice wiodą do rynku. Tak jest w Krakowie. Stałam na tym Rynku, to mnie zachwyciło i powiedziałam: tu zamieszkam. Był 1950 rok.

Ale ty przecież czujesz się warszawianką. – Oczywiście, ale w Krakowie i tak wszyscy myślą, że jestem krakowianką. Mam jednak do Warszawy osobisty, sentymalny stosunek. Bardzo mnie wzruszył transparent na pochodzie w Krakowie przeciwników PiS popierający protesty w stolicy: „Warszawa, już nigdy nie będziesz szła sama! Twój Kraków”.

W Krakowie był nie tylko Rynek, był Karol Frycz.

– Nadzwyczajny! Wiesz, że Andrzej też był jego studentem. A sam Frycz był z kolei uczniem Wyspiańskiego, Mehoffera czy Wyczółkowskiego.

Frycz, ojciec polskiej scenografii, był osobieście na premierze „Wesela” Wyspiańskiego. To jest ta krakowska ciągłość. Czego cię nauczył?

– Że scenograf powinien się solidnie przygotować. Przeczytać dokładanie całą sztukę i ją przeanalizować. To wcale nie jest takie oczywiste, czasem moi studenci czytali tylko didaskalia! Że trzeba z reżyserem ustalić koncepcję, ale wcześniej samodzielnie opracować własną koncepcję inscenizacyjną, by mieć silne argumenty wobec reżysera. Że wychodziliśmy od tekstu czy od muzyki i że zasygnalizowanie właśnie tego jest na scenie najważniejsze. Potem dopiero są kostiumy, konkretne materiały, praca z ludźmi, panowanie nad przestrzenią.

Frycz uczył, że trzeba być stale obecnym przy powstawaniu spektaklu. Że trzeba wreszcie mieć odwagę konfrontować się z innymi pomysłami. Że trzeba umieć przepraszać, jeśli się popełniło błąd.

W młodości studiowałaś malarstwo, chciałaś studiować grafikę w ASP, ale autokrytycznie oceniałaś, że „nie masz dość talentu”. Uważam, że byłaś wobec siebie nazbyt surowa.

– Wiesz, po pierwsze, grafika, malarstwo – to samotnia. Tylko ty i płótno. Po drugie, Andrzej mówił, że „malarz musi być z siebie zadowolony”. A ja ciągle byłam z siebie niezadowolona. Na trzecim roku zdecydowałam, że brakuje mi w malarstwie tego, co dawała mi historia sztuki, a z kolei historia sztuki nie dawała tego, co dawało malarstwo. I dopiero wtedy wybrałam scenografię.

Młodzi ludzie uważają na ogół, że są świetni i mogą góry przenosić, a ty o sobie tak dojrzałe i krytycznie. A to, że nie umiesz malować albo że nie masz głosu i słuchu... Dlaczego?

– Takie wychowanie. We mnie i w siostrę rodzice nie pompowali przekonania, że jesteśmy nadzwyczajne. Traktowano nas rzeczowo.

Nigdy nie miałaś kierownika scenograficznego? Sama zajmowałaś się wszystkim? Organizacją sceny, dekoracjami, kostiumami?

– Tak, jeśli kierownik techniczny był niekompetentny albo mu się nie chciało, co niestety czasem się zdarzało – brałam sprawę w swoje ręce...

A może, ty, Krysiu uważasz, że sama zrobisz i szybciej, i lepiej?

– Nie, nigdy nie miałam przewrócone w głowie. A że zrobię szybciej, to na pewno. Masz czterdziestu aktorów w przedstawieniu, każdy musi przyjść do miary trzy razy, każdy ma jakieś życzenia, to jest przedsięwzięcie logistyczne.

Żeby być scenografką, trzeba mieć artystyczną duszę, a ty jednocześnie musiałaś być stąpającym po ziemi karbowym? Jak godziłaś te sprzeczne talenty?

Muzeum Manggha w Krakowie obchodzi 30-lecie powstania

Moją największą szansą było to, że spotkałem tylu fantastycznych ludzi, którzy tego samego chcieli, podobnie myśleli, mieli wiarę, że to wszystko da się zrealizować.

Andrzej Wajda

Reżyser po raz pierwszy zachwycił się drzeworytami z kolekcji Feliksa „Mangghi” Jasieńskiego (1861-1929) w trakcie wizyty na wystawie prezentowanej w Sukiennicach podczas niemieckiej okupacji, w 1944 r. Tymi samymi zbiorami zainspirowała się dwadzieścia pięć lat później Krystyna Zachwatowicz, pracując nad projektami kostiumów i scenografii do „Madame Butterfly”.

Kiedy w 1987 r. Wajda otrzymał Nagrodę Kioto, ufundowaną przez założyciela firmy Kyocera i przyznawaną co roku przez Fundację Inamori osobom „o znaczącym wkładzie w naukę, technologię, sztukę i filozofię”, postanowił przeznaczyć całą kwotę na budowę muzeum. Centrum Manggha (dziś Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha) miało być domem dla ko-



• **Kraków 15.04.2011.** Reżyser i jego żona składają i podpisują żurawie w ramach akcji pomocy dla Japończyków z miasta Kesennuma zniszczonego przez tsunami FOT. MICHAŁ LEPECKI/WYBORCZA.PL

lekcji sztuki Dalekiego Wschodu, zgromadzonej przez Jasieńskiego – krytyka sztuki, kuratora i kolekcjonera, podróżnika, mecenasa artystów, propagatora nowych trendów w sztuce, który na przełomie XIX i XX wieku przybliżał Polakom kulturę Japonii.

Wystawa „To wszystko da się zrealizować”, zorganizowana z okazji 30-lecia powstania Muzeum Manggha, jest hołdem dla jego fundatorów – Andrzeja Wajdy i Krystyny Zachwatowicz-Wajdy. Opowiada o ich życiu i twórczości w siedmiu rozdziałach

dotyczących życia prywatnego, aktywności artystycznej, twórczości teatralnej i filmowej, działalności społecznej, fascynacji Japonią oraz powstania muzeum. ●

• Zapraszamy do Krakowa – wystawa potrwa do 9 marca.

W wieku 14 lat zdałam sobie sprawę, jak ciężki jest człowiek bezwładny albo martwy

– Po prostu, gdybym nie chciała pracować w teatrze, tobym siedziała sama w domu i coś tam rysowała. A ja lubię pracować z ludźmi. Andrzej też bardzo lubił. Siłą teatru jest praca zespołowa.

Ale ty jesteś uparta i zawsze stawiasz na swoim. A jak wyrażałaś sprzeciw?

– Nie pamiętam, bym kiedykolwiek miała podniesiony głos. A z tym uporem to nie tak. Nie mogłabym zastąpić krawca, stolarza, malarza, charakteryzatorów. Musiałam się z nimi dogadywać. Jak ktoś jest fachowcem, to zawsze się dogada.

A wobec aktorów?

– A to już inna sprawa. Oni bywają kapryśni. Dawno temu w Warszawie robiłam „Króla Leara” – wielką inscenizację. Bardzo miły i fantastyczny aktor Stanisław Jasiukiewicz bardzo kaprysił, że kostium nie taki, a to za długie, a to nie leży... Tłumaczyłam więc Stasiowi łagodnie, dlaczego jest tak, a inaczej być nie może... Wracam do domu, biorę mojego czteroletniego siostrzeńca na spacer, zakładam mu kurtkę, a on zaczyna kaprysić. Ja na to: „Kochanie włóż tę kurtkę, tak ci w niej dobrze”. I nagle ośnienie: do kogo ja dziś mówiłam takim samym tonem? Scenograf musi być też czasem przedszkolanką.

Schylek PRL zapamiętałam jako najbardziej przygnębiający. Lata marazmu i braku nadziei. Tymczasem w 1987 roku Andrzej dostaje nagrodę Kyoto Prize. 450 tysięcy dolarów. Wtedy można było za to kupić pół krakowskiego Rynku.

– Od początku zastanawialiśmy się, co z tymi pieniędzmi zrobić, i wymyśliłmy wzniesienie w Krakowie budynku na po-

mieszczenie i ekspozycję wspaniałej kolekcji sztuki japońskiej Feliksa „Mangghi” Jasieńskiego.

Karygodna rozrzutność.

– A po co nam było więcej pieniędzy? Mieliśmy dom i dwa psy na Żoliborzu. Nie miałam poczucia, że te pieniądze są nam do czegośkolwiek potrzebne. Warto dodać, że była ogromna presja władz, by podczas gali odczytano posłanie generała Jaruzelskiego. Cała nagroda zawisła na włosku, bo Andrzej się sprzeciwił i powiedział, że w takim razie gotów jest zrezygnować z nagrody. Władza się ugłębia, ale zapamiętała upokorzenie. Ówczesny minister kultury Aleksander Krawczuk proponował, by, zamiast na muzeum sztuki japońskiej przeznaczyć te pieniądze na klimatyzację w Muzeum Narodowym.

Ale dlaczego właśnie muzeum japońskiej sztuki i techniki? I do tego w Krakowie?

– To taka wierność pierwszym artystycznym zachwytom Andrzeja, który podczas wojny jako osiemnastolatek po konspiracyj-

nej wyspie w Radomiu ukrywał się w Krakowie na Salwatorze, u stryjów. Ale pokusa zwyciężyła i poszedł na otwartą właśnie przez Niemców w Sukiennicach wystawę zbiorów Jasieńskiego.

To paradoks, że bezcenne zbiory przechowywane w piwnicach kamienicy Szolayskich eksponują dopiero okupanci.

– Japończycy, jak wiadomo, byli aliantami Niemiec i był to zapewne taki gest przyjaźni. Jakiegokolwiek byłyby motywacje Niemców, Andrzej wyszedł stamtąd innym człowiekiem. To był jego pierwszy w życiu kontakt z prawdziwą, żywą sztuką.

Gdy odbierał Nagrodę Kioto, mówił, że tyle jasności, światła, ładu i poczucia harmonii nie widział nigdy przedtem. Chciał, żeby to jego osobiste, szczęśliwe doświadczenie stało się też udziałem innych i że oczyma duszy widzi w Krakowie piękną japońską budowlę.

Wchodzi do niej młody człowiek, malarz, filmowiec, poeta, który tak jak on wtedy, w 1944 roku, po raz pierwszy spotyka się ze sztuką Japonii i to spotkanie kształtuje jego artystyczne i estetyczne poglądy. ●

• Całą rozmowę można przeczytać w „To naprawdę się zdarza” – wyjątkowej publikacji zawierającej wywiad, okolicznościowe teksty i kilkadziesiąt fotografii przedstawiających Krystynę Zachwatowicz-Wajdę i Andrzeja Wajdę podczas filmowych realizacji, prób do spektakli i oficjalnych wydarzeń. Wizualny esej dopełniają zdjęcia z prywatnych zbiorów artystów.

wyborcza

magazyn wyborczej **WOLNA SOBOTA**

REDAKCJA:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;

MAGAZYNY-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymiński, Igor Rakowski-Klos, Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas

Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



No i kto wie,
czy nauka,
na którą
ekspert
powołuje się
dziś, będzie
aktualna za 40 lat.
Więc po co nam
eksperci?

Kamil Fejfer

BO SĘDZIA BYŁ GŁODNY

Daktyloskopia, czyli analiza odcisków palców, jest powszechnie uważana za jedną z najbardziej precyzyjnych technik operacyjnych w policji. W niezliczonej liczbie filmów widzieliśmy, jak stróż prawa pobiegać odciski ze szklanek (to zawsze są szklanki!), aby porównać je z tymi w bazie danych.

Mniej więcej tak zrobiono po hiszpańskim 9/11, czyli zamachach z marca 2004 roku w Madrycie. W atakach bombowych na pociągi zginęło wtedy prawie 200 osób, a ponad 2 tysiące zostało rannych. Na miejscu zbrodni znaleziono plastikową torbę z odciskami potencjalnego zamachowca. W ciągu kolejnych kilku dni odciski zostały elektronicznie rozesłane po całym świecie, między innymi do FBI. Amerykańskie laboratorium ustaliło „100 percent match”, że należą do Amerykanina Branda Mayfielda.

Mężczyzna służył w wojsku, następnie ożenił się z Egipcjanką i przeszedł na islam, jako prawnik reprezentował przed sądem mężczyzn, którzy chcieli przedostać się do Afganistanu, żeby dołączyć do talibów. Idealny podejrzany. Był pod obserwacją, potem go aresztowano, wypuszczono kilkanaście dni później, gdy okazało się, że przez ostatnie 10 lat nie opuszczał Stanów Zjednoczonych. A po jakimś czasie hiszpańska policja poinformowała, że dopasowała odciski do kogoś innego.

Historię tę w książce „Szum. Czyli skąd biorą się błędy w naszych decyzjach” opisuje trójka autorów: laureat ekonomicznego Nobla Daniel Kahneman, profesor z Oksfordu Olivier Sobiny oraz Cass Sunstein, profesor z Harvardu zajmujący się ekonomią behawioralną. Jak to możliwe, że zawiodła tak precyzyjna i sprawdzona metoda naukowa?

Otóż odciski, które pobierają śledczy z miejsc zbrodni, nie są idealne – zamazane, zanieczyszczone, nakładają się na siebie. Ich porównywanie nie jest więc mechaniczne, wymaga – jak mówią Kahneman, Sibony i Sunstein – osądu, czyli „pewnego rodzaju pomiaru, w którym urządzeniem pomiarowym jest ludzki umysł”. A tam, gdzie pojawia się osąd, pojawia się też wiele zakłóceń wynikających z naszych niedoskonałości poznawczych.

Po pomyłce w sprawie Mayfielda FBI zarządziła wewnętrzne śledztwo. Wnioski? Odciski badało kilku specjalistów. Pierwszym był renomowanej sławy ekspert, który jednak pozostawał pod dużym wrażeniem nowego systemu automatycznie przeszukującego daktyloskopijne bazy danych. To prawdopodobnie uśpiło jego czujność. Kolejny analityk, znając renomę poprzednika, tylko potwierdził pierwotne wnioski.

Analitycy są więc podatni na błąd konfirmacji – kiedy w ich głowach zakiełkuje sugestia co do osądu, szukają jej potwierdzenia. W przypadku trzeciego eksperta sprawa była formalnością. Znal opinie dwóch poprzednich, więc efekt kaskady błędów tylko się powiększał. Błąd konfirmacji występuje w daktyloskopii również wtedy, kie-

dy śledczy zna jakieś szczegóły sprawy. Jeśli wie o dowodach, które przechylają szalę na niekorzyść podejrzanego, wzrasta prawdopodobieństwo, że orzeknie: to jego odciski.

Autorzy przywołują badania, które wskazują, że śledczy mogą zmienić osąd odcisków palców, które kiedyś już badali, ale o tym nie wiedzą – obrazy linii papilarnych nie zapadają tak w pamięć jak twarze – jeśli podesunie im się informacje na temat oskarżanego.

Tam, gdzie występuje osąd, tam występuje ryzyko błędu. A jakaś forma osądu występuje w niemal każdej dziedzinie, w której działają eksperci. Muszą się więc mylić. Czy można zrobić coś, żeby mylili się rzadziej? I czy są nam w ogóle potrzebni?

Na początku lat 70. sędzia federalny Marvin Frankel zwrócił uwagę na niezwykle rozpowszechnione w USA zjawisko skazywania różnych ludzi, którzy dopuścili się zbliżonych występów, na bardzo różne kary. Część państwa już przeczuwa, że za chwilę będzie o dyskryminacji rasowej. Zazwyczaj w tę stronę płyną zbliżone teksty. Owszem, Frankel dostrzegł również to, lecz zauważył, że bardzo wiele zależy od różnic między sędziami.

Istnieje grupa takich, którzy z reguły orzekają bardziej surowo niż średnia. Istnieje również grono sędziów gołębi. Mało tego, wśród sędziów, którzy – uśredniając – są zbliżeni w swojej surowości, istnieją obszary, gdzie jeden jest surowy bardziej, drugi mniej. Jeden może surowiej karać za prze-

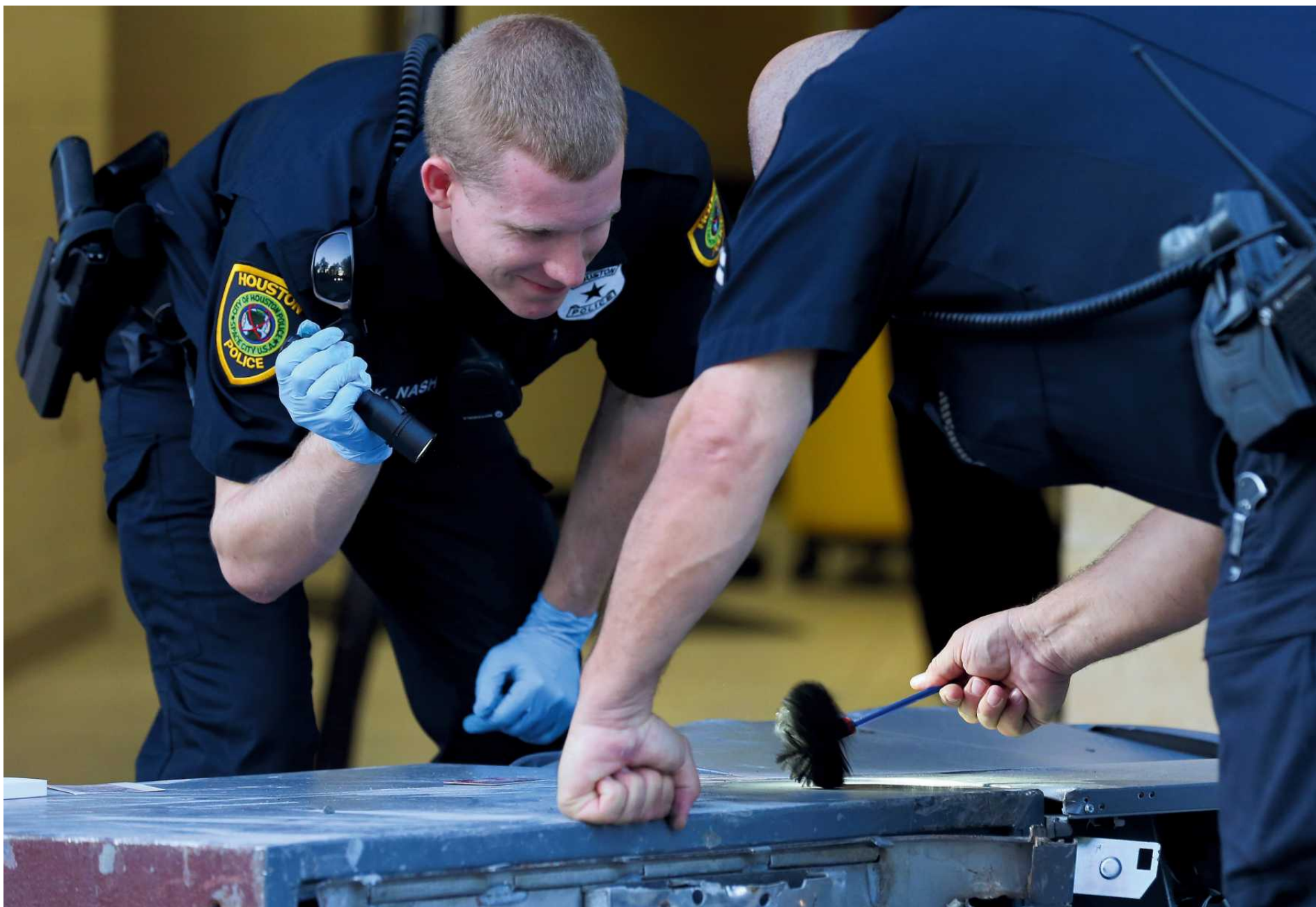
moc wobec kobiet, drugi za rozboje. Praktyki orzekania są związane z temperamentem sędziego, z jego biografią i wrażliwością. Ale też z geografią – w południowych stanach wyroki były surowsze niż w północnych. Egzekwowanie tych samych przepisów ma więc komponent kulturowy.

Kahneman, Sibony i Sunstein cytują Frankela, który jako przykład tej „niesprawiedliwości wymiaru sprawiedliwości” przytaczał historię dwóch mężczyzn fałszujących czek. Obaj byli niekarani. Pierwszy puścił w obieg czek na kwotę niecałych 60 dolarów, drugi na nieco ponad 35 dolarów. Pierwszego skazano na 15 lat, drugiego na 30 dni.

Daniel Kahneman w książce „Pułapki myślenia” wyjaśnia, że surowość wyroków zależy m.in. od tego, czy sędzia... jest głodny czy właśnie zjadł lunch. Przytacza też badania, które pokazywały, że bardziej surowe wyroki zapadały wtedy, kiedy lokalna drużyna baseballowa dostała łomot. Interpretacja nasuwa się sama – orzekający sędzia był kibicem i przyszedł do pracy nie w sosie.

Oczywiście to nie tak, że wyroki są absolutnie dowolne. Statystycznie widać jednak, że istnieją zmienne, które oddziałują na ludzkie osądy. A w skrajnych sytuacjach ludzie za popełnienie tego samego przestępstwa dostają skrajnie różne wyroki.

Ciekawym przypadkiem jest medycyna, w której – jak wskazują badacze – największy szum występuje w psychiatrii. Kłopoty dotyczą wytycznych diagnostycznych, in-



• 2017 r., policjanci z Houston szukają odcisków palców na bankomacie, który ktoś próbował zrabować z miejskiego parku za pomocą SUV-a
FOT. GODOFREDO A. VASQUEZ/HOUSTON CHRONICLE/GETTY IMAGES

terpretacji skali objawów, a zaczynają się już na etapie precyzji zgłaszania objawów przez pacjentów. Tu mamy zresztą pewną analogię do daktyloskopii, gdzie odciski palców bywają niewyraźne i nakładające się na siebie; to samo można powiedzieć o objawach psychiatrycznych.

Kahneman i reszta zauważają, że psychiatria jest najbardziej niepewną diagnostycznie gałęzią medycyny. Innymi słowy – właśnie tutaj występują największe rozbieżności, jeśli chodzi o stawiane rozpoznania. To niezwykle ważne spostrzeżenie w dobie kultury bardzo silnie skolonizowanej zarówno przez terapeutyczny, jak i psychiatryczny język. Oczywiście konsekwencją obserwacji autorów „Szumu” jest to, że bardzo duża część osób cierpiących psychicznie – większa niż ludzi zmagających się z innymi problemami zdrowotnymi – jest leczona nie na to, co trzeba.

Czołowy światowy ekspert w dziedzinie szeroko pojętej neuronauki, związany z Uniwersytetem Stanforda prof. Robert Sapolsky w wykładzie na YouTube przytacza opinię znanego psychologa: „Dajcie mi nowo narodzone dziecko i pozwólcie w całości kontrolować środowisko, w którym dorasta, a sprawię, że będzie dokładnie tym, kim chcę, żeby zostało – naukowcem, prawnikiem, żebrakiem albo złodziejem”. Tak chwalił się w 1912 roku John Watson, współzałożyciel prominentnej szkoły psychologicznej zwanej behawioryzmem.

Dzisiaj wiemy, że to nieprawda. Choć ludzkie zachowanie poddaje się pewnemu modelowaniu, to każdy z nas ma swoje dyspozycje i potencjały, które kierują nami od wewnątrz. A jako gatunek mamy pewne mentalne mapy, takie jak fizyka intuicyjna, zdolność do uczenia się języka, wdrukowany model empatii, jak i pewne preferencje, jeśli chodzi o dobór partnerów. Inaczej mówiąc, skrajny behawioryzm, niewiele zresztą różniący się od skrajnego społecz-

Przewagę w prognozowaniu mają te osoby, które myślą w sposób bardziej pragmatyczny, to znaczy nie są więźniami jednej – **wszystko jedno, liberalnej, socjaldemokratycznej czy konserwatywnej – wizji świata**

nego konstruktywizmu, nie może działać jako dobry sposób i wyjaśniania świata, i jego kształtowania.

Lekcja z błędu Watsona jest taka, że eksperci bywają omylni, bo są uzależnieni od stanu wiedzy w danym momencie. Jak również od tego, jaką szkołę wyjaśniania rzeczywistości wybierają – jedne szkoły oferują lepsze jej zrozumienie i lepsze prognozowanie, inne gorsze.

Dlatego „naukowa pewność” cechująca część dyskutantów w przestrzeni publicznej również bywa zwodnicza. Przecież nie wiemy, co nauka na temat wielu zagadnień będzie mówiła za lat 30 czy 40. Co trzeźwiejsi eksperci – zazwyczaj to naukowcy – sami zresztą podkreślają, że nauka jest metodą polegającą na weryfikacji hipotez, a nie wiedzą wykutą w kamieniu. Tym zresztą różni się od dogmatów.

Niestety, to, co jest siłą nauki, bywa zarazem jej słabością, bo „a skąd wiecie, czy za pół wieku naukowcy nie zmienią zdania” to częsty argument zwolenników teorii alternatywnych w rodzaju niedawnych koronaszceptyków. Ale cóż – sądy naukowe, choć niedoskonałe, dzięki mechanizmowi testowania hipotez są najlepszym sposobem opisywania świata.

•

Tu jeszcze jeden przykład: ekonomiści. Jakis czas temu po sieci krążył mem o tym, że „ekonomia jest astrologią dla mężczyzn”. To rzecz jasna nadużycie, ale żarty bywają zabawne również dlatego, że zawierają w sobie ziarno prawdy.

Jeszcze 20 lat temu, przed wielkim kryzysem gospodarczym 2008 roku, znacząca część ekonomistów gorąco wierzyła w neoliberalną szkołę ekonomiczną. Mówili, że do dobrobytu prowadzi: deregulacja, niskie podatki, możliwie głęboka liberalizacja stosunków pracy. Na tej mentalnej mapie nie było miejsca na biednych czy na rozwarstwienie społeczne. Dopiero wielki kryzys wprowadził te kategorie do mainstreamu ekonomicznego. W ekonomii podobnie jak w wielu innych naukach – być może nauki społeczne, z natury trudniej weryfikowalne twardymi metodami laboratoryjnymi, są na to szczególnie narażone – panują mody. Stąd warto do tych mód podchodzić z pewną dawką nieufności – choć, podobnie jak

w naukach ścisłych i przyrodniczych, można przekroczyć cienką granicę między zdrowym sceptycyzmem a podejściem na chłopski rozum „kiedyś naukowcy mówili jedno, dzisiaj mówią drugie, wszyscy siebie warcą”.

Pora na ostatnią historię podającą w wątpliwość kompetencje ekspertów.

W latach 80. Philip Tetlock, profesor Uniwersytetu Pensylwanii, późniejszy autor książki „Superprognozowanie. Sztuka i nauka prognozowania”, postanowił sprawdzić trafność przewidywań ekspertów. Zebrał grupę około 300 wybitnych specjalistów: ekonomistów, analityków z administracji rządowej Stanów Zjednoczonych, Międzynarodowego Funduszu Walutowego, Banku Światowego, z mediów i z korporacji. Połowa miała co najmniej doktoraty. Poprosił ich o tworzenie prognoz odnoszących się do konkretnych wydarzeń. Brzmiały one mniej więcej tak: „Jak sądzisz: jakie jest prawdopodobieństwo tego, że Związek Radziecki upadnie w ciągu najbliższych dwóch lat?” (przypomnijmy, mamy lata 80. XX wieku). Badani eksperci mieli przypisać poziom prawdopodobieństwa wystąpienia konkretnych zdarzeń, które mogły się wydarzyć, ale

nie musiały. Tetlock pytał badanych o sprawę z pogranicza gospodarki, stosunków międzynarodowych czy polityki. Zaznaczmy – naukowiec nie pytał „czy coś się zdarzy”, tylko „z jakim prawdopodobieństwem to może się zdarzyć”.

Co ciekawe, analitycy nie zgodzili się, aby ich nazwiska zostały upublicznione. Uśredniona trafność prognoz była zbliżona do trafności przewidywań robionych przez zupełnych laików. Jeżeli więc dziś zadalibyśmy to samo pytanie o przyszłość (na przykład o prawdopodobieństwo rozpadu Federacji Rosyjskiej w ciągu dwóch najbliższych lat) grupie tegich głów z organizacji międzynarodowych, amerykańskiej administracji, korporacji i think tanków oraz grupie przechodniów – uśredniając – otrzymalibyśmy takie same odpowiedzi.

Cofnijmy się teraz do roku 1907, kiedy to polihistor – zajmował się m.in. meteorologią, medycyną, statystyką, niesławną eugeniką i antropologią – Francis Galton, kuzyn Karola Darwina, podczas pikniku zebrał 787 oszacowań jego uczestników na temat... masy wołu, który wygrał konkurs. Choć nikt nie trafił dokładnie, to uśrednione oszacowanie było zaskakująco precyzyjne. Wół ważył 1198 funtów, a średnia z zebranych przypuszczeń wynosiła 1200 funtów. Różnica zaledwie 0,2 proc. – całkiem niezła dokładność jak na zwykłych ludzi zebranych na wiejskim festynie na początku XX wieku. Zjawisko to – piszą Kahneman, Sunstein i Sibony – nosi nazwę mądrości tłumu i zostało potwierdzone w wielu późniejszych badaniach.

Chodzi o to, że trafność przewidywań ekspertów bywa zbliżona do trafności przewidywań zwykłych ludzi zaczepionych na ulicy. Czy też zbliżona do – jak ujął to w słynnym bon motie profesor Tetlock – celności szympansa rzucającego strzałkami do tarczy.

W 2016 roku w kampanii poprzeczającej brexit Michael Gove mówił, że „społeczeństwo ma dość ekspertów”. Ważny polityków torysów wykazał społeczny nerw, wyczuł spadające zaufanie ludzi do profesjonalnych analityków. Przyczyną tego jest zapewne nie tyle świadomość obywateli, że eksperci są omylni, ile rozdrażnienie faktem, że media i politycy nierzadko powołują się na chłodną eksperckość, by uzasadnić niepopularne społecznie pomysły lub stan rzeczy, w dodatku w paternalistyczno-wyższościowym tonie. Niemniej na powyższych przykładach widać, że ta nieufność całkiem często jest uzasadniona.

Znów wraca refren: czy więc eksperci nie są nam potrzebni? Może potrzebna jest nam tylko bardziej radykalna demokracja? Bo co, jeśli ci wszyscy eksperci, a przynajmniej duża ich część, jest funta klaków warta. A ich praca opiera się głównie na wydawaniu autorytatywnych, mających pozory merytoryczności opinii uzasadniających ich bardzo wysokie wynagrodzenia? Na marginesie – Gove, który w swoim CV ma między innymi kierowanie resortami edukacji, sprawiedliwości i środowiska, sam jest swego rodzaju ekspertem; pracując w administracji publicznej, również w jakimś stopniu musi nim być. I również pełnią swoją funkcję, słuchał zawodowych ekspertów, a nie taksówkarzy. Żadnemu taksówkarzowi również swojej pozycji zawodowej nie oddał.

Zacznijmy od tego, że różnice w osądach ekspertów, czy będą to sędziowie, eksperci od daktyloskopii, biznesmeni, maklerzy giełdowi, prawnicy czy lekarze, to tytułowy „Szum” z książki Kahnemana, Sibony’ego i Sunsteina. Jak go ograniczyć? Istnieją techniki zależne od konkretnej aktywności, ale uniwersalnym sposobem jest – niestety tak – więcej reguł. Bo reguły ograniczają uznaniowość.

Na propozycję „więcej reguł” ludzie reagują alergicznie, twierdząc, że taki sposób podejmowania decyzji jest „niehumanizujący” i utrudnia zwracanie uwagi na niuanse. Problem w tym, że zazwyczaj przecenia-

Media i politycy nierzadko powołują się na chłodną eksperckość, by uzasadnić niepopularne społecznie pomysły lub stan rzeczy, w dodatku w paternalistyczno-wyższościowym tonie

my „nietypowość” konkretnych przypadków. Czy to sprawa karna, czy ocena ryzyka finansowego spółki, czy oszacowanie, ile czasu zajmie napisanie tekstu do „Wolnej Soboty”. Rzeczywiście niektóre teksty piszę szybciej, a inne wolniej, ale ten rozstrzał wcale nie jest duży. Oczywiście, jak wszystkim, zdarza mi się oszukiwać samego siebie, że tym razem wykonam robotę sprawniej. Jednak po pewnym czasie zdzerzam się z typowością świata – rzeczy, które zdarzyły się już kilka razy, z dużym prawdopodobieństwem powtórzą się w przyszłości. Tekst, który chciałem napisać w dwa dni, choć wcześniej pisałem podobne artykuły w trzy lub cztery dni, prawdopodobnie napiszę właśnie w trzy lub cztery dni.

To ma zastosowanie niemal do wszystkiego: tego, ile wydamy pieniędzy w danym miesiącu, ile przebiegniemy podczas jogingu, po jakim czasie będziemy musieli kupić pastę do zębów oraz na przykład tego, czy mężczyzna, który prosi o dziesiątą szansę, naprawdę w końcu się zmieni. Wskazówka – jeśli dałaś mu szansę kilka razy i zawsze wychodziło na to samo, niemal na pewno scenariusz się powtórzy.

Dodatkowo z naszej skłonności do traktowania spraw jako „nietypowych” biorą się rozjazdy w osądach, które powinny być zgodne – jak w przypadku dwóch fałszerzy czeków, gdy za podobne przestępstwo jeden dostał 180 razy dłuższą odsiadkę niż drugi.

No i wadliwe reguły mają też tę zaletę, że można je korygować, co w przeciwieństwie do korekty uznaniowej decyzji pozytywnie reguluje cały system.

Ale nawet najbardziej szczegółowe reguły stosują ludzie, dlatego nie da się całkowicie wyeliminować elementu uznaniowości. Czyli osądu. Tu warto przytoczyć rozróżnienie, którego dokonują Kahneman, Sibony i Sunstein. Twierdzą, że osady można podzielić z grubsza na prognostyczne i te „z autorytetu”. Te pierwsze można odnieść do obiektywnych wartości, przy czym słowo „prognostyczny” nie musi, choć może, odwoływać się do przyszłości. Na przykład diagnozę zapalenia płuc można traktować jako sąd prognostyczny, ponieważ występuje możliwość jej weryfikacji na wiele sposobów. Dopóki jednak nie zostanie potwierdzona testami, dopóty mamy do czynienia z pewnym założeniem, hipotezą. Podobnie jest z osadami z gatunku „czy za dwa lata upadnie Związek Radziecki”. Również i tu w pewnym momencie nastąpi weryfikacja hipotezy.

Osady „z autorytetu” są o wiele trudniejsze lub w ogóle niemożliwe do weryfikacji. To na przykład te odnoszące się do szeroko rozumianej sztuki. Opinie krytyków literackich są osądami „z autorytetu”, bo nie ma ostatecznie rozstrzygających kryteriów, które pozwoliłyby sprawdzić, czy recenzenci „mają rację”. Erudycja kilku spierających się o jakieś dzieło krytyków może nam imponować, ich dyskusje mogą być intelektualnie pobudzające, ale ostatecznie nie ma żadnego twardego odnośnika, który powiedziałby, że ta krytyczka ma rację, a tamten krytyk się myli.

W świecie sztuki nie ma ostatecznych kryteriów weryfikacji, jest więc narażony na jeszcze większą uznaniowość, mody, politykę i środowiskowe przepychanki niż inne dziedziny aktywności poznawczej. To prawdopodobnie dotyczy sporej części świata ekspertyz „z autorytetu”.

Sądy prognostyczne mają też tę cechę, że można (i należy) je testować. Wróćmy teraz do analityków, którzy przepowiadali przyszłość w badaniu Philipa Tetlocka. Choć w całym projekcie – uśredniając – trafność prognoz była zbliżona do rzutu monetą, to nie wszyscy analitycy mylili się w ten sam sposób. Była grupa, która systematycznie wypadała lepiej. Jak tego dowiedziono?

Przez lata od każdego eksperta zbierano setki prognoz najróżniejszych wydarzeń na świecie. Każdy analityk przypisywał konkretnemu zdarzeniu odpowiednie prawdopodobieństwo wystąpienia, na przykład (z zastrzeżeniem, że nie wiemy, czy ktoś taką prognozę postawił; według wielu wspomnień politologów byli raczej zaskoczeni tempem rozwoju wypadków): „Oceniam prawdopodobieństwo upadku ZSRR w ciągu dwóch lat na 90 proc.”. Jeżeli mamy odpowiednio dużą bazę przewidywań poszczególnych osób, możemy sprawdzać ich jakość. Jeżeli na 100 zjawisk, którym analityk przypisał 90 proc. szans na wystąpienie, rzeczywiście wystąpiło 90 zjawisk, mielibyśmy do czynienia z boską wiedzą – ale chodzi o to, że im lepiej pokrywało się szacowane prawdopodobieństwo z późniejszą rzeczywistością, tym lepszy był prognosta.

Tetlock w swojej książce pokazuje, co zwiększa prawdopodobieństwo, że będzie się dobrym prognostą. Przede wszystkim dobrzy progności są po prostu inteligentniejsi niż średnia. Nie jest to warunek konieczny, ale wśród najlepszych prognostów – superprognostów, jak ich nazywa badacz – jest ogromna nadreprezentacja osób z wysokimi kompetencjami poznawczymi.

Potrzebna jest też umiejętność rozbierania danego zagadnienia na czynniki pierwsze i przyglądania się prawdopodobieństwu wystąpienia każdego z nich. Wróćmy do przykładu z upadkiem ZSRR. Możemy ten problem podzielić na takie kawałki jak: stan walki frakcyjnej (a ten kawałek na kolejne mniejsze – która frakcja we władzach przeważa: reformatorów czy jastrzębi, jak wygląda trend wewnątrz poszczególnych obozów, komu przybywa, a komu ubywa zwolenników), sytuacja gospodarcza i pejzaż geopolityczny. Każdemu z tych czynników należy przypisać jakieś wagi i zastanowić się, jak się sumują. Jak widać, to fascynująca zabawa intelektualna, która wymaga cierpliwości i poznawczej samodyscypliny.

Tetlock mówi też, że przewagę w prognostowaniu mają te osoby, które myślą w sposób bardziej pragmatyczny, to znaczy nie są więźniami jednej – wszystkich jedno, czy liberalnej, socjaldemokratycznej czy konserwatywnej – wizji świata.

Jednocześnie – przynajmniej w przypadku ekspertów orzekających o przyszłości – musimy pamiętać o jednym: prognozowanie jest cholernie trudnym zadaniem. Nawet osoby bardzo dobrze wytrenowane popełniają wiele błędów, ponieważ – tu banał, ale kluczowy – rzeczywistość jest niesamowicie złożona i niektóre niewielkie wydarzenia zmieniają diametralnie ustawienie pionków na planszy.

Wróćmy teraz do mądrości tłumów. To prawda, że oszacowania tłumu są z reguły o wiele bardziej trafne niż oszacowania

każdego człowieka z tłumu z osobna. Oszacowania tłumu ekspertów jednak, zwłaszcza dobrze wytrenowanych ekspertów, są znacznie trafniejsze niż oszacowania tłumu nieekspertów Anonimowa agregacja opinii to zresztą jedno z zaleceń autorów „Szumu” – jakość osądów poprawia się, kiedy eksperci nie wiedzą, jakie opinie wydali inni eksperci, w przeciwnym razie kończy się kaskadą błędów potwierdzenia jak w przypadku odcisków Brandona Mayfielda.

A więc eksperci przewidujący przyszłość koniec końców są lepsi niż zwykli ludzie. Czyli spostrzeżenie Gove’a, że „ludzie mają dość ekspertów”, nie oznacza, że eksperci są nieskuteczni. Owszem, bywają, i to zaskakująco często, ale i tak w formułowaniu prognoz są skuteczniejsi niż nieeksperti.

Nie jest więc tak, jak uważają radykalni populiści, że „zwykły człowiek wie najlepiej”, ale nie jest też tak, jak wyobrażają sobie orędownicy technokracji, że „należy oddać ważne sprawy ekspertom”.

Tę kwestię podnosi Julian Reiss w tekście „Why Do Experts Disagree?”. Filozof z Uniwersytetu Johannesesa Keplera w Linzu uważa, że w demokracji zasadniczo istnieje problem z ekspertami. Słuchanie ekspertów jest w pewnym sensie sprzeczne z „jedną z najgłębiej osadzonych zasad demokracji, a mianowicie z równością wszystkich obywateli”. Jego zdaniem istnieją trzy drogi, które można obrać w tym kontekście. Populistyczna czy też radykalnie demokratyczna – odrzucenie rad eksperckich i oddanie całej władzy w ręce mądrości tłumu. Równie skrajna „oświecona tyrania ekspertów”. I trzecia opcja, realizowana w większości krajów, które uważamy za rozwinięte, czyli rodzaj „demokracji deliberatywnej”, gdzie waży się głosy i strony społecznej, i strony eksperckiej (to, gdzie jest decyzyjny punkt ciężkości, to inna sprawa).

Jeśli więc mówimy o ekspertach w kontekście analizy skutków polityk publicznych oraz tworzenia najbardziej trafnych ich wersji, to eksperci są nam potrzebni. Tylko naprawdę dobrze wyszkoleni i świadomi swojej omylności. Bo – na co również wskazują badania – samo miano eksperta sprawia, że przeszacowujemy swoją zdolność oceny sytuacji.

A jednocześnie niektórych rzeczy eksperci nie rozstrzygną. Dyskusja o ogólnym kształcie państwa to dyskusja nieco podobna do tej, w której spierają się krytycy literacy. W demokracji jednak rozstrzygającym głosem jest głos większości. Z czym zapewne nie zgodziłaby się część ekspertów.

• Właśnie ukazała się książka „**Ille trzeba zarabiać, żeby być szczęśliwym. Oraz 12 innych pytań o ekonomię i naszą przyszłość**” – dostępna w dobrych księgarniach oraz w formie e-booka na Publio.pl – w której Kamil Fejfer i Łukasz Komuda opowiadają o problemach współczesności. Czy ZUS wkrótce upadnie? Dlaczego na świecie rodzi się coraz mniej dzieci? Dlaczego uważamy, że Polska zmierza wprost do piekła, skoro od dekad w naszym kraju poprawia się niemal wszystkim? Od czego zależą nasze pensje? Czy sytuacja mieszkaniowa jest tak zła? To tylko niektóre z setek pytań, na które autorzy szukają odpowiedzi, starając się wyjść poza bańki informacyjne.





Ochoć ma na koncie wiele istotnych ról filmowych i nominację do Oscara, to największą sławę przyniosło mu przyrządzenie negroni, którym rozpalil internet i jako 60-latek został „symbolem seksu”.

Przy jego stole zasiadają Emily Blunt, John Krasinski, Saoirse Ronan, Richard Maden, Robert Downey Jr., Cillian Murphy, Woody Harrelson i Sam Rockwell.

A skoro Stanley Tucci nie odwiedził Polski i w najbliższym czasie się tu nie wybiera, wzięłam sprawy w swoje ręce i polecałam się z nim spotkać. W Nowym Jorku.

Skąd ja mogę pana znać?

Kiedy ludzie pytają go, gdzie mogli go widzieć, najczęściej odpowiada: „Diabeł ubiera się u Prady”.

Grał Nigela Kiplinga, stylistę, zaufanego współpracownika demonicznej Mirandy Priestly (Meryl Streep), szefowej mody magazynu, w którym pracę zaczęła Andy (Anne Hathaway). Dla zahukanej dziewczyny, peł-

nej marzeń i ambicji, był mentorem i wsparciem, przeprowadzał ją przez meandry branży i pracy ze specyficzną szefową i, co równie istotne, zmienił jej styl ubierania. I choć była to rola drugoplanowa, to zapadła w pamięć, a Tucci urzekł ciepłem, spokojem i dowcipem.

Tucci nie dostał za tę rolę żadnej aktorskiej nagrody, ale zyskał znacznie więcej. Na planie poznał Emily Blunt. Zaprzyjaźnili się, a ona zaprosiła Tucciego na swój ślub z Johnem Krasinskim, też aktorem. Uroczystość odbyła się we Włoszech, Tucci poznał wtedy siostrę Emily, agentkę literacką Felicity Blunt. Ślub wzięli w 2012 r. Klan Tucci – Blunt – Krasinski jest nieustannie głodny nowych smaków i przygód, ale o tym później.

Grono fanów Tucciego powiększyło się po filmie „Julie i Julia”. Aktor gra Paula Childa, amerykańskiego dyplomatę i męża Julii Child, ikony amerykańskiej kuchni. Julia – w tej roli znów Meryl Streep – podczas pobytu z mężem we Francji szuka dla siebie zajęcia, bo nie chce być tylko żoną dyplomaty.

Jest w filmie scena, kiedy Paul z Julią siedzą w restauracji i rozmawiają o tym, jakie hobby mogłoby ją zająć. „Ale co tak napraw-

dę lubisz robić?” – dopytuje Paul. „Lubię jeść” – odpowiada Julia. „Wiem, i jesteś w tym świetna” – stwierdza Paul.

„Najlepsze na planie było to, że dania nie były rekwizytami i mogliśmy je jeść. Smakowały wybornie!” – wspominał Tucci w biografii „Smak” (wyd. Marginesy).

Bo Stanley Tucci to aktor, którego życie kręci się wokół jedzenia. Ale świat dowiedział się o tym dopiero niedawno.

Negroni, które rozpałiło internet

Gwiazdą internetu, nie tylko tego kulinarnego, został przez przypadek, kiedy w pandemii żona nagrala, jak przyrządza dla niej negroni.

Wideo obejrzały miliony ludzi. Świat barmański był wstrząśnięty, że hollywoodzki gwiazdor negroni wstrząsa w shakerze, zamiast wymieszać je z lodem w schłodzonym naczyniu. Reszta podziwiała lysego szarmanckiego mężczyznę w okularach. W dodatku średniego wzrostu – najmłodszy syn, Matteo, wypomina mu, że jest niższy od żony. Nieźle jak na gościa po sześćdziesiątce.

Ja też odkryłam wtedy na nowo Stanleya Tucciego. Tucciego – smakosza. I przepadłam.

Kocha jedzenie. Trudno, żeby było inaczej, skoro ma się włoskie korzenie. W domu na obiad serwowane są makarony z aromatycznymi sosami, na lunch do szkoły pakuje się kanapkę z parmigiano, matka świetnie gotuje, a ojciec każdego gościa wita pytaniem: czego się dziś napijesz? Od matki uczył się gotować ragu, carbonarę i timpano, a od ojca – jak przygotować martini i zaopiekować się gośćmi.

Upust swojej miłości do jedzenia dał w filmie „Wielkie otwarcie”. Scenariusz do niego napisał z kuzynem, Josephem Tropiano, współreżyserem był kolega Campbell Scott. To historia dwóch braci imigrantów, Primo (Tony Shalhoub, znany z roli detektywa Monka) i Secondo (w tej roli Tucci), którzy prowadzą włoską restaurację w Nowym Jorku. Idzie mi raczej średnio, urządzają więc wielką ucztę, która ma zwabić gości.

Domowa kuchnia ma tu swoje miejsce – jedno z serwowanych w filmie dań, timpano, do dziś rodzina Tuccich je na Boże Narodzenie. Stanley pisze o tej włoskiej zapiekance w biografii „Smak” i książce kucharskiej, która zbiera rodzinne przepisy – „The Tucci Cookbook”.

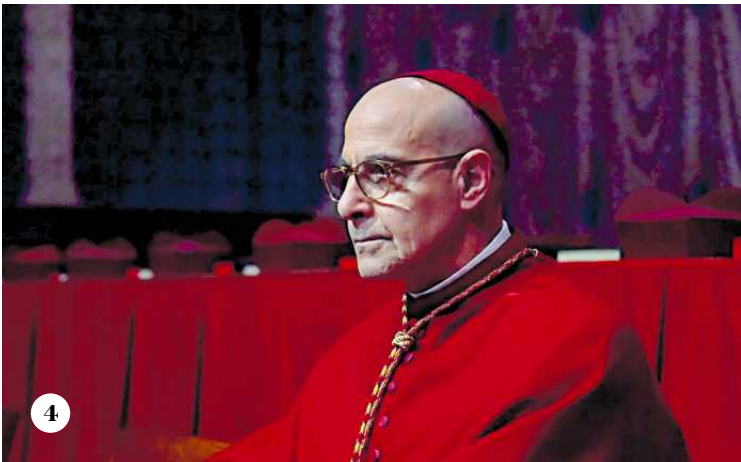
W najnowszej książce, pamiętniku „What I Ate in One Year (and Related Thoughts)”, Tucci wspomina wszystko, co jadł i gotował w ciągu roku. To na premierę tej właśnie książki polecałam do Nowego Jorku.

Stanley wciąż nie znalazł Włoch

– To mój ulubiony aktor. Jest reżyserem, producentem, pisarzem, artystą. Stworzył program „Searching for Italy” (w wolnym tłumaczeniu „Szukając Włoch”) i wciąż ich nie odnalazł! Wyprzedał Madison Square Garden, więc jest oficjalnie ikoną – zapowiedział Tucciego jego szwagier, John Krasinski.

– Powiedzieli mi, że poprowadzę spotkanie ze Stanleyem Tuccim. Pomyślałam sobie: świetnie! Zapytałam, gdzie to będzie. Odpowiedzieli, że w największej sali w Nowym Jorku, gdzie występowały legendy – Led Zeppelin, Harry Styles. My w sumie jesteśmy do nich podobni, jesteśmy jak Led Zeppelin i Harry Styles. Zobaczycie to podobieństwo, jak razem usiądziemy – żartował Krasinski.

Żartami sypał jak z rękawa, ale widać było, że jest przejęty. Prowadzenie spotkania z własnym szwa-



1 i 2 • Program „Stanley Tucci: Searching for Italy”. Na górze: aktor z żoną Felicity Blunt jedzą jego ulubione spaghetti alla Nerano, specjalność restauracji Lo Scoglio da Tommaso w Nerano na Wybrzeżu Amalfi. Z lewej: z Luigi Miansem, pszczelarzem z Sardynii, a na stole jagnięcina z różną w glazurze z „gorzkiego miodu” – miodu z drzewa dzikiej truskawki (it. corbezzolo), specjalności Sardynii. Kulinarno-turystyczna seria powstała dla CNN w latach 2021-22. (trzy serie, 24 odc.) U nas dwa pierwsze sezony dostępne na CANAL+ online.

3 • „Diabeł ubiera się u Prady” (2006). Jako Nigel, stylistka pisma „Runaway” pomaga zbuntowanej Andy (Anne Hathaway) odnaleźć się w świecie wielkiej mody

4 • „Konklawe” (2024). Jako amerykański kardynał Bellini - jeden z kandydatów na nowego papieża.

5 • Film „Julie i Julia” (2009). Jako Paul, mąż Julii Child (Meryl Streep), Amerykanki, która uczyła swoje rodaczki gotowania i kuchni francuskiej

*** Książki Tucciego:**
1. „Smak. Życie i jedzenie” (tłum. Małgorzata Glasenapp, wyd. Marginesy 2023)
2. „What I Ate in One Year” (2024, nie ma jeszcze polskiego wydania)



grem to jednak inny kaliber niż zażądanie domowych pulpecików mięsnych.
– „Smak”, ku mojemu zaskoczeniu, był wielkim sukcesem. Nie sądziłem, że ktoś to w ogóle będzie chciał czytać. Okazało się, że chciał – mówił Tucci. – Wydawca zaproponował, żebym napisał drugą książkę. Nie miałem na nią pomysłu, wtedy żona zaproponowała, żebym napisał o tym, co jem w ciągu roku.
Publiczność zaczęła klaskać, a dwie osoby głośno piszczały. To były siostry Blunt. – Są swoimi największymi fankami, nikt tak nie dopinguje jak one – żartował Krasinski z żony i szwagierki.

Jedzenie, ważne kryterium znajomości
Jaki był ten kulinarny rok Stanleya Tucciego? Już na pierwszych stronach „What I Ate in One Year (and Related Thoughts)” aktor opisuje wyjazd do Rzymu na plan filmu „Konklawe”, w którym gra kardynała Belliniego. Cieszy się, że ma kuchnię w apartamencie, a produkcja zaopatrzyła go we wszystkie niezbędne produkty do gotowania: makarony, pomidory świeże i w puszcze, chleb, masło, oliwę.

Cateringi na planach zdjęciowych, nawet we Włoszech, nie są najlepsze, więc Tucci sam przygotowuje swoje lunche: najczęściej zupę minestrone lub pastę marinara. Na kolacje chodzi do restauracji razem z przyjaciółmi. „Isabella [Rossellini], John [Lithgow] i ja poszliśmy do restauracji L'Eau Vive, którą matka Isabeli, Ingrid Bergman, często odwiedzała. Prowadzą ją francuskie zakonnice, karmelitanki, od 1969 r. (...) Jedzenie jest klasycznie francuskie: zupa cebulowa, pieczony ser kozí z migdałami, canard à l'orange, ale codziennie są też dania włoskie” – pisze Tucci w nowej książce.
Kilka stron dalej wspomina spotkanie z innym kolegą z planu „Konklawe”: „Ralph [Finnes] jest prawdziwym miłośnikiem jedzenia (...). Mieliśmy okazję spotkać się kilka razy, a dzięki pracy w Rzymie spędziliśmy trochę czasu razem, co było wielką przyjemnością, bo jest nie tylko utalentowany i mądry, ale, jak już powiedziałem, kocha dobre jedzenie, co może być najważniejszym kryterium w naszej znajomości. Teraz, w wieku, w którym już nie zawiązuje się nowych przyjaźni, ja znalazłem nowego przyjaciela”.

To tylko niektóre ze znanych nazwisk, które pojawiają się na stronach tej książki. Śmiałam się, czytając, jak przy pierwszym spotkaniu z Cillianem Murphym Tucci był tak zestresowany, że nie mógł wydusić z siebie słowa i jadł tylko chleb; jak Sam Rockwell zaprosił na kolację do Tucciego ich wspólnego znajomego, Woody'ego Harrelsona, i całe ustalone wcześniej menu gospodarz musiał zmieniać na wegańskie (Harrelson jest na diecie wegańskiej); jak Colin Firth, z którym grał w filmie „Supernova”, przyjechał spóźniony półtorej godziny na kolację w domu Tuccich, bo pomyliły mu się daty; czy jak król Karol III odpowiedział, że z chęcią przyjdzie na kolację u am-

■
Gwiazdą internetu, nie tylko kulinarnego, został przez przypadek, kiedy w czasie pandemii żona nagrała filmik jak przyrządza dla niej negroni

basadora Włoch w Wielkiej Brytanii pod warunkiem, że będzie na niej Stanley Tucci. I jak tenże Tucci razem z szefem kuchni wymyślał, co na takiej kolacji królowi można podać.
W grę wchodziło risotto z grzybami, gnocchi z solirodem, pieczeń jagnięca, makaron z owocami morza i labraks w soli.
Król ostatecznie odwołał kolację. Powinien żałować.

Co zjedzą Matteo i Millie?
Ale znane nazwiska to nie wszystko.

Siłą Tucciego, a za tym i jego nowej książki, są poczucie humoru (żarty potrafi opowiadać z kamieną twarzą), serdeczność i miłość do rodziny. Codziennie aktor nie są plany filmowe, ale dom i wychowanie dwójki młodszych dzieci.
To codzienne batalie o to, żeby dziewięcioletni Matteo i czteroletnia Emilia umyły rano zęby i wyszykowały się do szkoły i przed szkołą, zjadły śniadanie i przygotowany dla nich obiad. Matteo lubi próbować nowych potraw, ale Millie nie uznaje sosu pomidorowego i ciągle je makaron z masłem i serem („Kim jest ta osoba?!” – zastanawia się kilka razy na stronach książki Tucciego).

To też opowieść o upływającym czasie, o rodzicach, o dzieciach, które dorastają szybciej, niżby chciał (Tucci ma także troje dorosłych dzieci z pierwszego małżeństwa: Isabellę, Nico i Camilę); o przyjaciół, którzy chorują i odchodzą.

„Moje stare życie, które kiedyś było po prostu moim życiem, wydaje się takie odległe. Rzadko widuję moich przyjaciół z Ameryki z uwagi na dystans, ale i na to, że mam młodą rodzinę. Mogłbym ich odwiedzić, ale z uwagi na pracę nie mam ochoty na podróżowanie bez Felicity i rodziny. To głupie, wiem, szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że zostało nam może kilka spotkań (...). Kiedyś wydawało się, że nasz czas się nigdy nie skończy. Odwiedziliśmy się w domach, chodziliśmy do restauracji, razem pracowaliśmy, chodziliśmy na swoje premiery, razem świętowaliśmy urodziny i Nowy Rok. Zawsze wspieraliśmy się w dobrych i złych chwilach” – wspomina.

Co ma on, czego nie mają inni?
Moi bliscy i znajomi często pytają, dlaczego akurat Tucci wzbudza we mnie aż takie emocje i dlaczego na spotkanie akurat z nim lecę na drugi koniec świata. Co jest w nim takiego wyjątkowego? Co ma on, czego nie mają inni?

Lubię go jako aktora, chociaż nie podchodzę do jego ról bezkrytycznie (kilka ostatnich występów, w filmach i serialach, jak „Cyta dela”, to nieporozumienie). Ale Tucci jest dla mnie znacznie więcej niż aktorem. Jest smakoszem. Smakuje nie tylko jedzenie (choć to głównie), ale także życie. Jest zabawnym, ciepłym i czułym człowiekiem, wrażliwym na bliskie sobie osoby, którym troskę i uczucia okazuje, karmiąc ich i jedząc z nimi posiłki. A ludzie, którzy kochają jeść i karmić innych, to najlepsi ludzie.

Czy warto było lecieć prawie 7 tys. kilometrów przez ocean, żeby być na godzinnym spotkaniu autorskim z idolem? No pewnie! Gdybym mogła, zrobiłabym to drugi raz. ●

Z DR BENNIE MOLS
ROZMAWIA
PIOTR CIEŚLIŃSKI

Bardziej sztuczna niż inteligencja



Żaden z dzisiejszych systemów sztucznej inteligencji nie posiada tej zdroworozsądkowej i elastycznej wiedzy, jaką ma dwuletnie dziecko.

PIOTR CIEŚLIŃSKI: Termin „sztuczna inteligencja” został wymyślony dość dawno...

DR BENNIE MOLS*: Dokładnie w roku 1956, gdy na konferencji w Dartmouth w USA spotkali się kognitywista i informatyk Marvin Minsky i informatyk John McCarthy. Minsky później mówił, że tak naprawdę nikt nie był zadowolony z tego terminu, bo pionierom tej dziedziny chodziło o odtworzenie ludzkiej inteligencji, a nie budowanie sztucznej inteligencji.

Od tamtych czasów ta dziedzina doświadczyła kilku cykli zwiększonego zainteresowania i entuzjazmu, po którym następowało rozczarowanie, zwątpienie, cięcia w finansowaniu i stagnacja w badaniach. Te dolki były określane mianem „zim AI”.

Czy obecny szczyt zainteresowania AI to znowu tylko przesadny entuzjazm i szum medialny, po którym przyjdzie zima?

– Gdy w 2010 r. zacząłem pisać o AI, od dwóch lat działał już Tłumacz Google’a. Był kiepski i niepraktyczny, ale w kilkanaście lat wszystko się zmieniło. Teraz mamy użyteczne aplikacje, z których korzystają ludzie i firmy – np. niezłe tłumaczenie maszynowe, coraz lepszą transkrypcję, która mi znacznie ułatwia życie. Są aplikacje medyczne, półautonomiczne samochody... Zamiast obietnic już dostajemy konkretne wdrożenia, a będą ich tylko więcej.

I jest ChatGPT oraz inne duże modele językowe.

– Pierwszego chatbota, z którym można było porozmawiać, stworzył już w 1966 r. profesor MIT Joseph Weizenbaum. To ciekawa historia. Weizenbaum miał świadomość, że technologia komputerowa nie jest jeszcze na tyle dobra, aby stworzyć bota, który odpowie na każde pytanie. Zastosował więc pewną sztuczkę. Jego chatbot – nazywał się Eliza – zachowywał się jak psychoterapeuta, który odtwarza to, co mówi pacjent. Jeśli rozmówca mówił: „Jestem przygnębiony”, to Eliza odpowiadała w stylu: „Och, jesteś przygnębiony? Dlaczego?”. Kilka prostych zasad pozwalało, by toczyła się rozmowa.

Robiło to na ludziach piorunujące wrażenie. Przez trzy miesiące nie tylko studenci, ale także mieszkańcy Bostonu i okolic mogli podejść do Elizy i porozmawiać. Nawet sekretarka Weizenbauma, która wiedziała, na jakiej zasadzie działa, zaczęła się zwierzać botowi z osobistych problemów. Naukowiec był zdumiony i nawet zaniepokojony tym, że ludzie postrzegają i traktują maszynę jak człowieka. Wielu oczekiwało, że za kilka lat taka maszyna zastąpi psychologów i psychoterapeutów.

Obecnie nazywa się to „efektem Elizy” – łatwość, z jaką ludzie ulegają iluzji, że maszyna myśli i zachowuje się jak człowiek. Podobnie jest teraz z ChatemGPT.

Czyli ten cały szum wokół niego to przesada?

– Co roku amerykańska firma konsultingowa Gartner publikuje tzw. Gartner Hype Cycle, czyli wykres oczekiwań, jakie są związane z rozwojem różnych technologii. Na osi pionowej są nasze wyobrażenia, a na poziomej czas. I dla wielu technologii wykres ma podobny kształt – najpierw oczekiwania szybko rosną, osiągają szczyt, po czym obniżają się i urealniamy, ale nigdy nie spadają do najniższego poziomu.

20

• WATÓW
energii zużywa ludzki mózg. Superkomputery potrzebują megawatów

Myślę, że ze sztuczną inteligencją, a zwłaszcza ChatemGPT i dużymi modelami językowymi obecnie jesteśmy na samym szczycie, co oznacza, że spodziewamy się po tej technologii dużo więcej, niż nam ona przyniesie. Ta technologia będzie bardzo przydatna, ale obecne oczekiwania są zbyt wysokie.

Podczas eksperckiego panelu w Heidelbergu wyświetliłeś dwa krótkie filmiki – w jednym bohaterem było dziecko, w drugim AI.

– Pół wieku temu zastanawiano się, co będzie największym wyzwaniem dla AI. Stawiano na grę w szachy, ale okazało się, że jak tylko komputery zyskały więcej pamięci i mocy obliczeniowej, to szybko pokonały arcymistrzów.

To samo było z bardziej wymagającą azjatycką grą w Go. W Heidelbergu pokazałem fragment filmu dokumentalnego o AlphaGo, sztucznej inteligencji, która w 2016 r. wygrała z koreańskim arcymi-

strzem Lee Sedolem, najlepszym graczem Go ostatnich dekad. W kluczowym momencie meczu AlphaGo wykonuje ruch nr 37. Komentatorzy, a potem Lee Sedol, który podszedł do planszy, byli zszokowani. Żaden z ludzkich graczy nie wykonałby takiego ruchu. Zresztą AlphaGo wyliczył, że prawdopodobieństwo wykonania tego ruchu przez ludzkiego gracza jest mniejsze niż 1 do 10 000, a więc był to ruch spoza ludzkiego doświadczenia, a mimo to AI zdecydowała się tak zagrać. Okazało się, że był to genialny, strategiczny i kreatywny ruch. Dzięki ogromnej ilości danych użytych do trenowania AlphaGo był w stanie dostrzec wzorce i strategię, których ludzie nie odkryli w ciągu setek lat doskonalenia się w tej grze.

Niespodziewanie jednak okazało się, że AI ma problem z innymi, na pozór całkiem prostymi zadaniami.

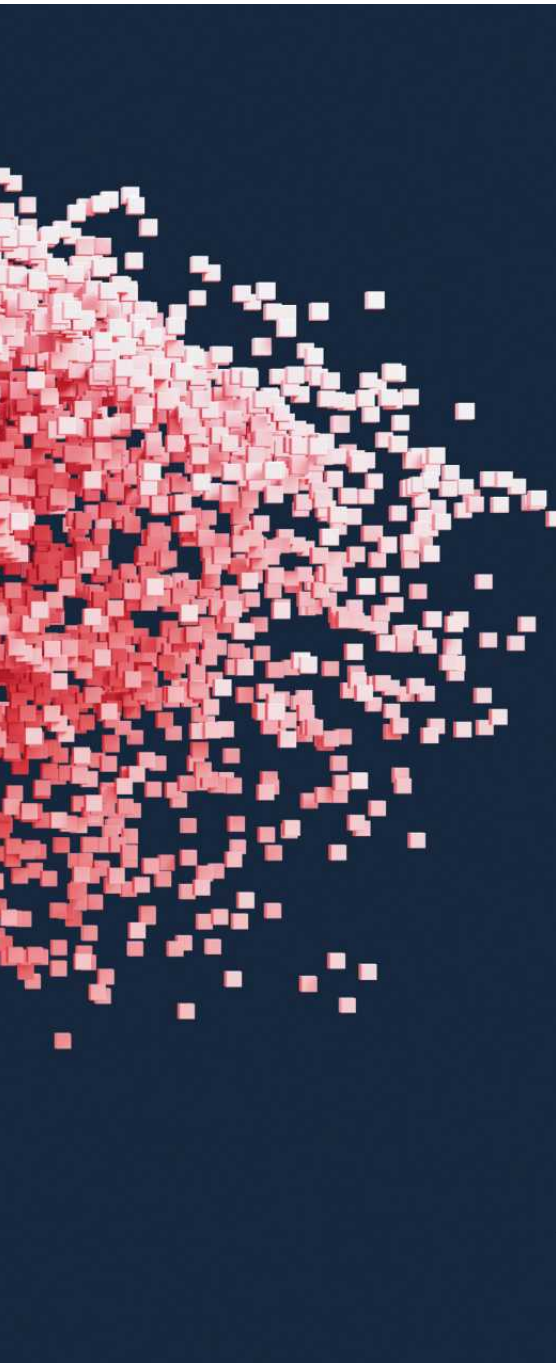
Ilustrował to drugi z pokazanych przez ciebie filmów.

– Historia jest następująca. Widzimy pokój, w którym znajduje się zamknięta szafa. Podchodzi do niej mężczyzna, w rękach trzyma sterter dokumentów, zderza się z szafą, cofa kilka kroków i znowu podchodzi, ale ponownie uderza w szafę.

W kącie stoi dwuletnie dziecko i wszystko obserwuje. Gdy mężczyzna kolejny raz zbliża się do szafy, dwuletek podchodzi, otwiera ją i zachęca wzrokiem mężczyznę, aby włożył niesione dokumenty do szafy.

Nie ma na świecie systemu AI, który potrafiłby zrobić to, co ten dwuletek. Niesamowite jest to, że ten mały dzieciak nigdy wcześniej nie widział takiej sytuacji, ale sądząc po jego zachowaniu możemy wnioskować, że rozumie, czego chce mężczyzna. Rozumie, do czego służy szafa. Potrafi fizycznie ją otworzyć i komunikuje się z mężczyzną niewerbalnie.

O czym to świadczy?



FOT. 3DSOUL/PIROGETTY IMAGES

Jeśli zrobisz prawo jazdy w Polsce, możesz wsiąść za kierownicę i poradzisz sobie także w zatłoczonym i chaotycznym New Delhi. Samochód autonomiczny szkolony do jazdy w San Francisco nie pojedzie samodzielnie i bezpiecznie w Indiach

ce naukowców i inżynierów z całego świata, a wciąż nie są dostateczne wyuczone. Mamy inteligentne systemy wspomagające prowadzenie pojazdu, pomocne, ale wciąż nie w pełni autonomiczne.

Autonomiczne taksówki już jeżdżą po San Francisco.

– Jeśli zrobisz prawo jazdy w Polsce, możesz wsiąść za kierownicę i poradzisz sobie także w zatłoczonym i chaotycznym New Delhi. Samochód autonomiczny szkolony do jazdy w San Francisco nie pojedzie samodzielnie i bezpiecznie w Indiach.

Ludzie potrafią generalizować wiedzę, abstrahować, tworzyć ogólne koncepcje na podstawie niewielkiej liczby przykładów. AI wciąż ma z tym kłopot, potrzebuje też ton wysokiej jakości danych. Nasz mózg zużywa ledwie około 20 watów energii, superkomputery potrzebują megawatów.

Jakie są najpopularniejsze mity na temat sztucznej inteligencji?

– Jednym z najbardziej mylących jest ten, że AI przejmie władzę nad światem.

Nie zgadzasz się z pionierem tej dziedziny Geoffreyem Hintonem, który ostrzega przed sztuczną inteligencją?

– Hinton stworzył głębokie sieci neuronowe, jest informatykiem, świetnie się zna na komputerach. Ale nie jest filozofem, socjologiem ani politykiem. Dlaczego mielibyśmy mu wierzyć, gdy mówi, że sztuczna inteligencja przejmie świat? Bardziej obawiam się ludzi. To my, ludzie, jesteśmy odpowiedzialni za maszyny, które stworzyliśmy. Te narzędzia nie mają świadomości, nie mają pojęcia o normach etycznych, wartościach, przejrzystości w działaniu. To musi przyjąć od nas, to nasze zadanie.

Wracając do mitów. Największym jest to, że jesteśmy bardzo blisko stworzenia AGI.

Czyli?

– Artificial general intelligence. Ogólnej sztucznej inteligencji.

To znaczy?

– Pod tym terminem kryją się różne definicje, ale dla mnie AGI oznacza inteligencję podobną do ludzkiej, która będzie miała zdolności poznawcze naszego mózgu.

Czy to w ogóle możliwe?

– Wciąż trzeba pokonać przeszkody, o których wiedziano już pół wieku temu. O niektórych już mówiłem – AI nie potrafi abstrahować i uogólniać, uczyć się z niewielkiej liczby przykładów.

Poza tym nasze mózgi ewoluowały w kontakcie ze sobą, jesteśmy zwierzętami społecznymi, współpracujemy. Dziwi mnie, że w rozwoju AI pomijamy ten aspekt współdziałania z ludźmi czy innymi maszynami.

Celeste Kidd, profesorka psychologii z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, powiedziała w Heidelbergu, że nasze mózgi rozwinęły się, abyśmy mogli opiekować się noworodkami, które są bezbronne przez pierwsze lata życia. W tym celu musieliśmy nauczyć się odczytywania niewerbalnych sygnałów, współpracy, dzielenia się wiedzą etc.

– Ludzie potrzebują innych ludzi. Moja matka, która zmarła przed rokiem, cierpiała na chorobę Alzheimera. Zapominała więc o wielu rzeczach, m.in. o tym, aby codziennie brać lek na serce. Dzwoniłem do niej każdego ranka i prosiłem: „Mamo, weź tabletkę”. Gdy nasza profesjonalna opiekunka usłyszała, że interesuję się robotyką i sztuczną inteligencją, powiedziała, że jest taki robot społeczny, który można zaprogramować, aby codziennie mamie mówił: „Proszę, weź tę tabletkę”. Przy najbliższej okazji powiedziałem mamie o tym robocie i zapytałem, czy nie wolałaby, aby on jej przypominał. Nie powiedziała ani słowa, tylko stanowczo wskazała na mnie. Bo oczywiście nie chodziło tylko o przypomnienie, ale o kontakt, relację, więź.

Ten ludzki aspekt zawsze będzie bardzo ważny. OK, od czasu do czasu ktoś zakocha się w chatbotcie, ale nigdy nie będzie to regułą.

Nie będziemy mieć dzieci z robotami, prawda? Jesteśmy istotami biologicznymi.

Jak na twoim panelu zauważył Po Shen Loh, profesor matematyki w Carnegie Mellon University: Ewoluwaliśmy, aby się rozmnażać.

– Miał rację. Jaką rolę odgrywa nasz mózg? Ma pomóc jednostce przetrwać i się rozmnożyć. To wszystko. Nauczyliśmy się pisać, stworzyliśmy matematykę, fizykę i inne nauki, ale z punktu widzenia biologii chodzi o przetrwanie gatunku. Sztuczna inteligencja nie ma tej presji.

Czy w przyszłości pozostaną nam, ludziom, jakieś pola, na których będziemy mieli intelektualną przewagę?

– W obszarach, jakie zazwyczaj kojarzymy z inteligencją, nie mamy raczej szans. W wielu kategoriach zadań intelektualnych AI już przewyższyła możliwości człowieka, a w innych za chwilę nas pokona. Gdyby AI uczestniczyła w tegorocznej Międzynarodowej Olimpiadzie Matematycznej, to zdobyłaby srebrny medal. Ale błędem jest porównywać jeden do jednego naszą inteligencję z maszynową.

Dlaczego?

– W AI nie ma życia. To nie jest byt biologiczny, nie rodzi się, nie umiera. To kluczowa różnica.

To stałe porównywanie się i rywalizowanie z AI, człowiek kontra maszyna, jest dobre dla Hollywood. W praktyce bardziej będzie się liczyła umiejętność współpracy niż to, jak bardzo AI przewyższa nas inteligencją.

Prowadzę wykłady o sztucznej inteligencji dla korporacji. Często firmom się wydaje, że wystarczy kupić aplikację, zainstalować i sprawa rozwiązana. Ale to tak nie działa. Jednym z kluczowych elementów kultury organizacyjnej firm jest współpraca i tak samo istotne jest to, czy ludzie nauczą się kooperować z maszynami.

Co jeszcze mówisz firmom, które cię zapraszają?

– Moje główne przesłanie jest takie, że powinniśmy traktować sztuczną inteligencję jako inteligencję rozszerzoną.

To znaczy?

– AI nas nie zastąpi, lecz poszerzy nasze, ludzkie możliwości. Dzięki niej możemy zrobić coś lepiej, bardziej efektywnie.

Wolę lekarza, który potrafi korzystać z AI, niż lekarza, który ufa tylko sobie. W wielu wypadkach taka współpraca przyniesie lepsze rezultaty niż poleganie na samej sztucznej inteligencji. Są szpitale, w których algorytmy AI pomagają lekarzowi przewidzieć reakcję pacjenta i dobrać optymalną dawkę środka przeciwbólowego, co jest bardzo indywidualną sprawą. Ale pacjent ma nad tym kontrolę – może poprosić o zwiększenie lub zmniejszenie dawki.

Często będziemy potrzebować takich hybrydowych systemów. A zwłaszcza w krytycznych dla nas miejscach nie powinniśmy oddawać AI pełnej kontroli. Wykorzystajmy sztuczną inteligencję jako turbodoładowanie naszej inteligencji, ale zachowajmy ludzki wpływ. ●



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Bennie Mols

• jest doktorem fizyki, holenderskim dziennikarzem naukowym, autorem książek i mówcą, który specjalizuje się w sztucznej inteligencji i robotyce. W 2023 r. wydał książkę o AI „Slim, slimmer, slimst” („Inteligentny, mądrzejszy, najmądrzejszy”). Rozmawialiśmy podczas konferencji Heidelberg Laureate Forum, na której młodzi matematycy i informatycy spotkali się z laureatami największych nagród w tych dziedzinach – Nagrody Abela, Medalu Fieldsa, Medalu Abacus, Nagrody Turinga i Nagrody ACM w informatyce. Bennie Mols prowadził tam jeden z ciekawszych paneli eksperckich, który nosił tytuł „Paradoks sztucznej inteligencji: mądrzejsza od arcymistrza, ale bardziej nieporadna niż dziecko”. Jego uczestnicy zastanawiali się nad różnicami w uczeniu się i inteligencji między człowiekiem a AI z punktu widzenia informatyki, matematyki i psychologii.

Ale Eric Schulz, dyrektor instytutu sztucznej inteligencji w Monachium, mówił, że gdy pokazał tę scenkę najnowszej wersji ChataGPT, to podobno przewidziała, że dziecko pomoże mężczyźnie.

– Ale nadal jest przepaść między tym, co w tej sytuacji potrafi ChatGPT a ten dwulatek. Dzieci są z natury ciekawe świata, samodzielnie go poznają, uczą się w kontekście społecznym i kulturowym i osiągają niezwykle rezultaty, chociaż mają znacznie mniej danych i zasobów, niż użyto do szkolenia chata. Czy pamiętasz, ile odbyłeś szkoleniowych jazd przed egzaminem na prawo jazdy?

Chyba około 30 godzin.

– Autonomiczne systemy jazdy są rozwijane od końca lat 60., pracują nad nimi tysią-



• LAT

Od tylu lat są rozwijane autonomiczne systemy jazdy, ale wciąż nie są dostatecznie wyuczone

Robinson Crusoe:
biblia wszystkich
przygód

Sally Rooney:
premiera nowej
powieści

DWUMIESIĘC
GRUDZIEŃ

W SPRZEDAŻY

wyborcza

KSIĄŻKI

MAGAZYN DO CZYTANIA

**Agnieszka
Osiecka:**
ZAWSZE O KROK
PRZED NAMI

**10 KSIĄŻEK
ROKU 2024**

najlepsze kryminały,
komiksy, debiuty,
okładki, dla dzieci

- Sapkowski dla *Książek*:
Proszę nie przypinać mi
mieczyków Chrobrego



Sponsor numeru:

**Philip
Roth**



**Mnóstwo
starannie
dobranych
prezentów**



Agnieszka Osiecka:
Była zawsze o krok przed nami



Andrzej Sapkowski
o powrocie do pisania o Wiedźminie



10 najlepszych kryminałów i thrillerów
minionego roku

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**

Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

KUJAWSKA SPÓŁDZIELNIA MIESZKANIOWA
w Inowrocławiu, 88-100 Inowrocław, al. Kopernika 7

ogłasza przetarg nieograniczony w przedmiocie zamówienia pn.:

WYMIANA STOLARKI OKIENNEJ PCV, STOLARKI
DRZWIOWEJ STALOWEJ ORAZ WYMIANĘ WRÓT
GARAŻOWYCH STALOWYCH W BUDYNKACH
SPÓŁDZIELCZYCH W 2025 ROKU

- Oferty należy składać w dwóch zamkniętych kopertach w siedzibie Spółdzielni (parter – BIURO PODAWCZE), w terminie do 23.01.2025r. do godziny 10.00. Pierwsza koperta powinna zawierać wszystkie dokumenty wymagane w postępowaniu przetargowym. Druga koperta powinna zawierać ofertę cenową.
- Otwarcie OFERT Z DOKUMENTAMI nastąpi w dniu 23.01.2025r. o godz. 10.00 w siedzibie Kujawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Inowrocławiu, al. Kopernika 7 – sala konferencyjna na parterze, bez udziału Wykonawców.
- Otwarcie OFERT CENOWYCH nastąpi w dniu 28.01.2025r. o godz. 10.00 w siedzibie Kujawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Inowrocławiu, al. Kopernika 7 – sala konferencyjna na parterze, bez udziału Wykonawców.
- Specyfikację istotnych warunków zamówienia można pobrać ze strony internetowej Spółdzielni: www.ksmino.pl

Dodatkowe informacje można uzyskać na w/wym. stronie internetowej Spółdzielni.

Kraj/34354890

Work Centre
BIURO PRACY

WORK CENTRE (KRAZ 7098)
PRACA W HOLANDII !!!
Praca w ogrodnictwie, rolnictwie i na produkcji.

Poszukiwani kandydaci za znajomością języka obcego i prawem jazdy.

Osoby zainteresowane prosimy o wypełnienie formularza na stronie www.workcentre.com.pl lub kontakt telefoniczny 77-441-06-54, 533-966-678, 533-111-037, 533-155-868 oraz 797-351-037.

Kraj/34325452

W KAŻDY WTOREK
Z „WYBORCZĄ”

**MÓJ
BIZNES**

wyborcza

W dniu 21 grudnia 2024 roku zmarł w wieku 95 lat
nasz kochany Tata i Dziadek



Władysław Stanek

inżynier budownictwa

wieloletni dyrektor w Przedsiębiorstwie Cheminstal
i przedstawiciel Przedsiębiorstwa w Czechosłowacji

Uroczystości pogrzebowe odbędą się dnia 3 stycznia 2025 roku o godzinie 13.30 w sali dużej Domu Pogrzebowego Służew, ul. Fosa 19a, (przy kościele św. Katarzyny) w Warszawie, po czym nastąpi odprowadzenie do grobu rodzinnego na Cmentarzu w Grabowie.

O czym zawiadamiają pogrążeni w głębokim smutku

syn, córka z mężem i wnuki

www.nekrologi.wyborcza.pl/34354871

nekrologi.wyborcza.pl

ODESZLI.pl

Złóż kondolencje

Kontakt: nekrologi@wyborcza.pl | tel. (22) 555 55 55

ODESZLI.pl

**Stwórz Miejsce
Pamięci**

Dziel się wspomnieniami o bliskich, których już z nami nie ma

Wejdź na serwis odeszli.pl

GAZETA wyborcza DLA FIRM, URZĘDÓW I INSTYTUCJI

- Przetargi**, licytacje, zamówienia publiczne
- Ogłoszenia** sądowe i rekrutacyjne
- Nekrologi**, kondolencje, wspomnienia



KONTAKT: kontakt_komunikaty@wyborcza.pl, tel. 507 094 232
nekrologi@wyborcza.pl, tel. 22 555 55 55

Komunikaty.pl

nekrologi.wyborcza.pl

Gdzie jest nowe pokolenie polskich skoczków

W II konkursach tej zimy 25-letni Paweł Wąsek zdobył więcej punktów niż trzech mistrzowie świata Kamil Stoch, Dawid Kubacki i Piotr Żyła razem wzięci. Nie tak miała jednak wyglądać zmiana pokoleniowa w polskich skokach.

Dariusz Wołowski

To było jak grom z jasnego nieba. Kiedy w niedzielę w pierwszej serii konkursu w Oberstdorfie szanse polskich skoczków wydawały się pogrzebane, ostatni z nich – Paweł Wąsek – odpalił, uzyskując 137 m. Ponieważ w Turnieju Czterech Skoczni rywalizuje się systemem KO, 25-letni Polak skazał na rolę „szczęśliwego przegranego” samego Karla Geigera. W drugiej serii Niemiec wyprzedził Polaka, który jednak oddał kolejny dobry skok (130 m) i obronił miejsce w czołowej dziesiątce – najlepsze w tym sezonie.

Niżny Tagił Pawła Wąska

Cztery lata temu, w położonym w azjatyckiej części Rosji Niżnym Tagile, Wąsek był w Pucharze Świata szósty. Całe podium zajęli wtedy Norwegowie: Halvor Egner Granerud, Robert Johansson i Marius Lindvik. Stoch, Kubacki i Żyła w daleką podróż do Rosji w ogóle się nie wybraли, mieli ważniejsze cele, szykowali się do podboju 69. Turnieju Czterech Skoczni. Stoch wygrał go po raz trzeci w karierze, Kubacki był w klasyfikacji generalnej trzeci, polskich mistrzów rozdzielił Geiger.

To były jeszcze czasy wzlotu polskich skoków: zaledwie półtora miesiąca później w Oberstdorfie Żyła zdobył tytuł mistrza świata na skoczni normalnej, a polska drużyna w składzie Stoch, Kubacki, Żyła i Andrzej Stękała sięgnęła po brąz.

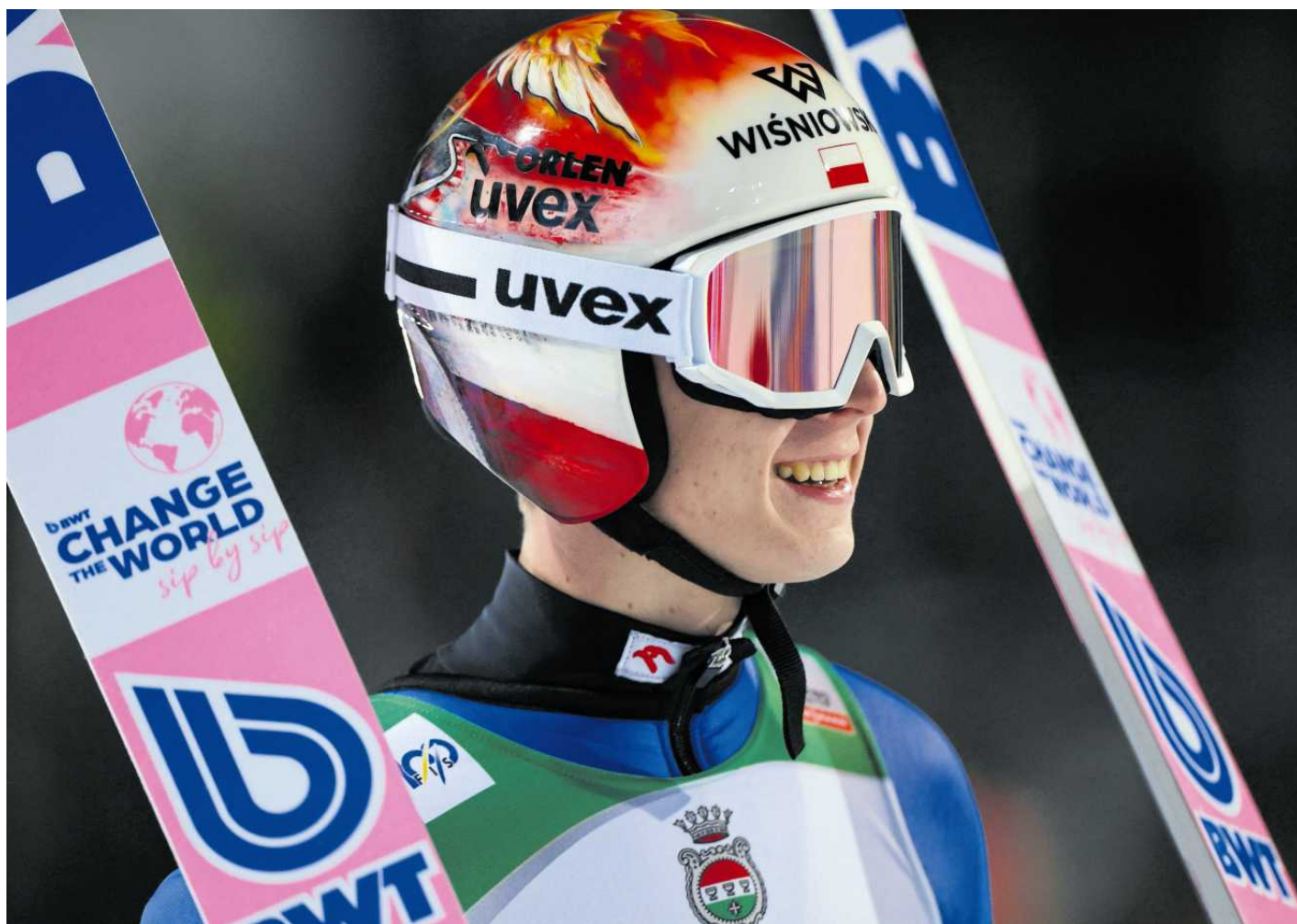
Życiowy wynik Wąska w Niżnym Tagile poszedł w zapomnienie, zwłaszcza, że 21-letni skoczek urodzony w Cieszynie spisywał się potem słabo lub przeciętnie. Na mistrzostwa świata do Oberstdorfu nie pojechał, w całym sezonie Pucharu Świata wywalczył ledwie 62 pkt. W kolejnym 61 – trudno było mówić o postępie.

W Polsce trwały już wtedy nerwowe poszukiwania następców Stocha, Kubackiego i Żyły. Choć weterani wciąż jeszcze utrzymywali się w światowej czołówce, to zmiana pokoleniowa w skokach narciarskich stała się jednym z najbardziej nośnych tematów w polskim sporcie. Dyrektor sportowy Polskiego Związku Narciarskiego, a dziś jego prezes Adam Małysz zapewniał, że utalentowani, młodzi zawodnicy w Polsce są, nie potrafili jednak przekroczyć barier dorosłości.

Do tej grupy należał Wąsek, który po przyzwoitym starcie zimą 2023 roku (190 pkt w Pucharze Świata), popadł w kryzys.

W poprzednim sezonie w zapaści tkwili już niemal wszyscy. Jedyne dwa miejsca na podium PŚ zajął 30-letni Aleksander Zniszczol.

Wąskowi nic nie zagrażało. Za słaby sezon nie zapłacił miejscem w kadrze, bo innych kandydatów nie było. Tyle że dziura pokoleniowa za plecami Stocha, Kubackiego i Żyły zmieniała się w otchłań. Starzy mi-



• Paweł Wąsek jako jedyny z Polaków nie zawiódł w Oberstdorfie, na starcie 73. Turnieju Czterech Skoczni FOT. REUTERS / LISI NIESNER

Wszystko wskazuje na to, że w polskich skokach idą lata chude, gdzie sukcesem będzie miejsce w czołowej dziesiątce. Jak w niedzielę w Oberstdorfie

strzowie zaczęli przegrywać nieuchronny wyścig z czasem, młodzi nie potrafili ich zastąpić. Ale Wąsek wygrał ostatnią edycję letniej Grand Prix, co zwiastowało, że tej zimy może być lepiej.

I jest lepiej. W II konkursach Pucharu Świata Paweł Wąsek zdobył 167 pkt – więcej niż Stoch, Żyła i Kubacki razem wzięci (127). Jako jedyny z Polaków nie zawiódł w Oberstdorfie, na starcie 73. Turnieju Czterech Skoczni. Trener kadry Thomas Thurnbichler przekonuje, że Paweł nie zrobił nic nadzwyczajnego, ponad swoje normalne możliwości. Jego 10. pozycja w niedzielnym konkursie kontrastuje jednak z fatalnym występem całej reszty. Następny z Polaków w klasyfikacji, Jakub Wolny, był 30.

Czy Paweł Wąsek zastąpi Kamila Stocha?

Po fatalnym początku sezonu Stoch zrezygnował ze startu w 73. TCS. Kubacki przepadł w sobotnich kwalifikacjach w Oberstdorfie. Żyła w kwalifikacjach spisał się dobrze (14. pozycja), ale już w konkursie poległ z kretesem (był 41.). Zniszczol wyładował wyżej o zaledwie pięć pozycji. Polacy są na szóstym miejscu w drużynowej klasyfikacji Pucharu Narodów – uzbierali 622 pkt, o 2463 mniej niż prowadzący skoczkowie z Austrii.

Paweł Wąsek wygrał FIS Cup – czyli cykl zawodów dla młodzieży w 2017 roku. W Pucharze Świata zadebiutował rok później w Zakopanem, ale pierwsze punkty wywalczył na Wielkiej Krokwi po kolejnych 12 miesiącach. Na następne czekał aż do końcówki 2020 roku. Uchodził za talent, ale rozwijał się bardzo powoli. Poprzedni prezes PZN Apoloniusz Tajner uspokajał, że w Polsce skoczkowie dojrzewają długo: Stoch, Żyła i Kubacki osiągnęli apogeum swoich sportowych możliwości znacznie później, niż ich rywale z Niemiec czy Austrii.

Dziś Wąsek ma 25 lat i wciąż trudno uznać go za skoczka ze światowego topu. I to mimo sporego doświadczenia – startował na igrzyskach w Pekinie i mistrzostwach świata w Planicy. Problem polega na tym, że po ćwierćwieczu sukcesów Małysza, Stocha, Kubackiego, Żyły i innych, nawet 10. miejsce w konkursie Pucharu Świata wygląda błado. Oczekiwania kibiców mają się nijak do obecnych możliwości i formy skoczków Thomasa Thurnbichlera.

Po zawodach Pucharu Świata w Wiśle na początku grudnia austriacki trener kadry mó-

wił: – Jesteśmy reprezentacją Polski, nasze aspiracje muszą sięgać miejsc na podium.

Dziś szkoleniowiec jest bezradny i choć uchodzi za fachowca z górnej półki, stanął u progu dymisji.

Najłatwiej obwinąć i zwolnić trenera, czy to jednak rozwiąże problem zmiany pokoleniowej w polskich skokach narciarskich?

Sztab trenerski jest mocny. Poza Thurnbichlerem, który prowadzi kadrę, Michał Dołężał i Łukasz Kruczek pracują ze Stochem. Skoczków wspiera niemiecki specjalista doskonalenia fazy lotu Arvid Endler. Nad wszystkim czuują dyrektor sportowy Austriak Alexander Stoeckl i prezes PZN Adam Małysz. Gdyby sukces sportowy mierzyć ich wiedzą i doświadczeniem, powinno być lepiej.

Wszystko wskazuje jednak na to, że w polskich skokach idą lata chude, gdzie sukcesem będzie miejsce w czołowej dziesiątce. Jak w niedzielę w Oberstdorfie. ●

Drugi konkurs Turnieju Czterech Skoczni 1 stycznia o godz. 14 w Garmisch-Partenkirchen. Transmisja w TVN i na player.pl

wyborcza

REDAKCJA ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00 (czynny w dni powszednie w godz. 10-17);
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielirski
PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utko
GRAFICY: Magdalena Birska, Paweł Kapusta, Tomasz Lebiada, Paweł Lubowicz, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
PORTRETY AUTORÓW: Agata Marszałek, Natalia Michalska
KOLPORTAŻ: Michał Szałański
Problemy z dostępnością „Wyborczej” lub z właściwą mutacją lokalną: kolportaz@wyborcza.pl

Prenumerata cyfrowa: prenumerata.wyborcza.pl; pomoc@wyborcza.pl, 22 555 54 55, 519 255 455
Inne formy prenumeraty: wyborcza.pl/prenumerataGW
Gazeta Wyborcza w serwisach społecznościowych: facebook.com/wyborcza, twitter.com/gazeta_wyborcza, instagram.com/gazeta_wyborcza

WYDAWCA
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10
00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas

REKLAMA
Dyrektor sprzedaży: Marta Gądek
Biuro reklam i ogłoszeń:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
ISSN 0860-908X
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

